


**HORROR**

**GUY N. SMITH**

---

**PRZYCZAJENI**



PHANTOM  PRESS

1,70 zł

17 000 st. zł

Wiek  
10

GUY N.

PRZYCZ



9 788385 276173

Peter Fogg, pisarz, wraz z rodziną przyjeżdża do wynajętego w walijskiej wsi domku. Ma nadzieję, że tu wreszcie odnajdzie spokój, potrzebny mu do ukończenia powieści.

Ich posiadłość znajduje się w pobliżu dawnego miejsca tajemniczego kultu druidów. Ktoś lub coś nie pozwala rodzinie żyć w spokoju. Rozpoczyna się seria koszmarnych, dręczących przypadków.

Czy są one dziełem ludzkiej złośliwości, czy też starożytne Zło powróciło, by odzyskać swoje terytorium...?

Nakładem Wydawnictwa PHANTOM PRESS ukaże się wkrótce horror Jeffreya Coopera:

## KOSZMAR Z ELM STREET 1



Dziesięć lat minęło od czasu, kiedy Freddy Krueger - okrutny zabójca wielu dzieci - został spalony przez doprowadzonych do ostateczności rodziców z Elm Street.

Teraz ludzie mogą spać spokojnie, ale jak długo...?

Przerażający człowiek o zdeformowanej twarzy zostaje zrodzony w koszmarnych snach i powołany do realnego istnienia.

GUY N. SMITH

# PRZYCZAJENI

Przełożył Zdzisław Browarczyk

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL  
GDAŃSK 1991

Tytuł oryginału

The Lurkers

Redaktor

Aleksandra Dąbkowska

Projekt okładki Bogdan Dams

Copyright © 1982 by Guy N. Smith

© Copyright for the Polish edition

by PHANTOM PRESS INTERNATIONAL

GDAŃSK 1991

PRINTED IN GREAT BRITAIN

Wydanie I

ISBN 83-85432-51-5

## 1

Janie Fogg czuła, że coś jest na zewnątrz. Przejmował ją dreszcz przerażenia, a jakaś dziwna siła zmuszała do ciągłego wyglądania na dwór. Za brudnym, okratowanym oknem kobieta widziała jednak tylko ciemny, jodłowy las.

Za pół godziny będzie już ciemno. Jeżeli coś lub ktoś czai się na zewnątrz, może z łatwością zakraść się do tej walącej się chaty. Janie zadrzała. Poczowała pragnienie natychmiastowej ucieczki - póki jest jeszcze widno, póki jeszcze czas...

Zamknęła oczy z nadzieją, że kiedy znów je otworzy, znajdzie się z powrotem w nowym, zwyczajnym bliźniaku otoczonym tuzinem podobnych. Perrycroft Estate było gwarne, lecz bezpieczne. Ale teraz Janie była na tym pustkowiu, a strach jej nie opuszczał. Zmierch przestoczył dalekie góry w szarą masę, która zdawała się wszystko osaczać. Strach Janie wzrastał.

Nie przerywając wycierania naczyń spojrzała w okno. Sosjerka i filiżanka brzęknęły o siebie, gdy Janie brała je w drżące ręce. Pod wpływem jakiejś niesamowitej siły starała się, mimo woli i mimo rosnącego lęku, dostrzec za oknem to coś, co ją przerażało. Ale na łące pod lasem nie zauważyła niczego prócz kilku owiec i tylko koło żywopłotu kulilo się jakieś małe stworzenie: królik albo zając.

Przyjazd o tej porze roku w miejsce takie jak to był po prostu szaleństwem.

Latem być może cieszyłaby się nawet z tygodniowego pobytu tutaj. Ale teraz był listopad, krajobraz sprawiał ponure wrażenie, prawie zawsze spowity chmurami, a wszystko przesiąknięte wilgocią i zimnem.

Hodre było typowym, zniszczonym domkiem na skraju walijskiej wioski. W sezonie wakacyjnym pozbawieni skrupułów właściciele mogli żądać za takie miejsce 100 funtów tygodniowo dlatego, że zmęczeni miastem ludzie mogli tutaj liczyć na azyl. Było tu pięknie, kiedy świeciło słońce, a pszczoły pracownice zbierały pyłek z polnych kwiatów. Teraz nie było tu ani kwiatów, ani pszczół, tylko szarość i mgła.

Mając trzydzieści sześć lat Janie była zadowolona ze swego życia. Miała męża, który wychodził do pracy o ósmej rano i wracał do domu o szóstej. Mieli samochód. Kilka funtów odkładali na każdy weekend. Nie spłacali żadnych długów, gdyż nie starali się za wszelką cenę dorównać sąsiadom i mieszkali w zwykłym domu. Kiedy Gavin zaczął chodzić do szkoły, Janie mogła pójść do pracy, ale to zakłóciłoby harmonię ich dotychczasowego życia. Nie miałyby wtedy czasu na zajęcia domowe, które tak lubiła.

Takie właśnie życie było dla niej realizacją marzeń, choć mogłoby się wydawać zwyczajne.

I właśnie wtedy wszystko zniszczyła ta przeklęta książka Petera.

Pracował nad nią ponad rok. Na początku Janie popierała pomysł, gdyż praca nad tekstem zatrzymywała jej męża w domu.

Nie przesiadywał już w garażu do jedenastej w nocy. Tysiące ludzi pisało książki, a nigdy nie doczekali się druku. Tylko wyjątkowi szczęśliwcy otrzymywali honoraria. Przy pierwszej książce mogło ono zaspokoić jedynie drobne potrzeby.

To, co się wydarzyło, oszołomiło Janie. Każdemu jej przebudzeniu towarzyszyła myśl, że może sprawa książki była tylko snem. Kto, będąc przy zdrowych zmysłach, płaci piętnaście tysięcy funtów za kilkaset kartek powieści, nie wiedząc, czy uda się ją sprzedać. Janie nie znała szczegółów całej sprawy. Wiedziała tylko, że wydawcy podbijali cenę, aby tylko zdobyć książkę Petera.

Peter powinien być zadowolony, skoro zrealizował swój cel. Książka stała się dla nich „kurą znoszącą złote jaja” - pozwoliłaby żyć dostatnio przez wiele lat. Nie musieli się już martwić kryzysami, inflacją ani tymi wszystkimi przygnębiającymi wydarzeniami, o których dowiadawali się z telewizji. Ale on nie był zadowolony. Zmienił się w mgnieniu oka. Stał się zachłanny, chciał wciąż powtarzać sukces - kolejna książka i kolejne piętnaście tysięcy. Dlatego właśnie przenieśli się na rok do Horde. Na rok! Ona chyba oszaleje przez ten czas. Najbliższa wioska była oddalona o trzy mile, a najbliżsi sąsiedzi, Ruskinowie, żyjący na farmie po drugiej stronie lasu, nie byli zbyt przyjaźnie nastawionymi ludźmi. Wydawali się oburzeni przyjazdem Foggów. Kiedy przejeżdżali land roverem lub traktorem, ojciec i synowie spoglądali z nienawiścią

na kamienną chatę. Peter mówił, że to dlatego, iż za wszelką cenę, należące do Hodre trzy lub cztery akry, chcieli przyłączyć do swojego „owczego imperium” na wyżynie. Ale Clive Blackstone, właściciel Hodre, który mieszkał gdzieś w bardziej cywilizowanym miejscu na południowym wybrzeżu, był wystarczająco uparty i bogaty, aby odrzucić wszelkie oferty. Dzięki temu Ruskinowie nadal pozostawali sąsiadami, a to było gorsze niż całkowita samotność.

Janie zacisnęła wargi. Peter stał się chciwy i samolubny. Nie zważając na to, że ich dziesięcioletni syn przyzwyczał się właśnie do nowej szkoły, wyrwał zarówno ją jak i Gavina z miejsca, do którego przywykli. Teraz Gavin musi przystosować się do warunków w wiejskiej szkole, gdzie z pewnością nauczyciele stosują przestarzałe metody wychowawcze.

Janie westchnęła z ulgą, zapomniała o wszystkim, o czym myślała przed chwilą i niemal wybaczyła mężowi, gdy tylko zobaczyła niebieskiego saaba, jadącego wąską drogą pomiędzy niskimi żywopłotami. Jej strach malał, gdy tylko Peter i Gavin wracali do domu. Jednak każdego dnia od nowa przeżywała te same długie chwile samotności i przerażenia. Próbowала sobie wytłumaczyć, że przyzwyczai się do tego, ale wiedziała, że to nigdy nie nastąpi.

Chociaż światła samochodu rozdzierały niepokojący mrok i chociaż Janie już wiedziała, że jej mąż wrócił, wciąż panicznie bała się nadchodzącej nocy.



W pobliżu lasu, około trzysta jardów od domu, skarłowaciałe, krzywe sosny otaczały wieńcem prastary, kamienny krąg druidów. To miejsce było widoczne z każdego zakątka tej okolicy. Jego legenda, być może wymyślona przez niechętnych obcym wieśniaków, mogła zawierać w sobie cząstkę prawdy.

Krąg górował nad okolicą. Teraz przykuł wzrok Janie. Nagle poczuła, że tam właśnie tkwi źródło jej niepokoju. Było w tym miejscu coś, co wyprowadzało ją z równowagi i zmuszało do zamykania drzwi i okien, kiedy się ściemniało.

Peter wykazał duże zainteresowanie kręgiem. Nawet zabrał tam kiedyś Gavina, w ramach edukacji, jak powiedział. Chłopiec był zafascynowany ogromnym, płaskim kamieniem. Peter wyjaśnił mu, że był to kamień ofiarny. Janie uważała, że w XX wieku dokonano wystarczająco dużo krwawych zbrodni, by nie odgrzebywać ponurych śladów zamierzchłej przeszłości. W historii zawsze krew lała się strumieniami. Może dlatego życie nie miało teraz żadnej wartości. Nikt nigdzie nie był bezpieczny. W Hodre też czaiło się niebezpieczeństwo.

- Cześć - powiedział Peter, stając w sieni.

Był niski i krępy. Janie powiedziała kiedyś, że powierzchownością przypomina buldoga. Teraz jego wygląd nieco zmieniły długie, jasne włosy, które opadały wokół kołnierza rozpiętej koszuli. Oprócz tego nosił wypłowiałe dżinsy, do których nie była przyzwyczajona. Ona też

czasem wkładała džinsy, ale poza tym była zawsze elegancka i zadbana. Starannie układała farbowane na złoty blond włosy. Z natury były ciemnobrązowe, ale Peter wołał blond. Domowe porządki, które robiła przez cały dzień, nie zostawiły żadnego śladu na jej džinsowej bluzie. Pamiętała zawsze o makijażu. Różnili się sposobem pojmowania codziennej elegancji, ale dotychczas im to nie przeszkadzało.

- Gdzie jest Gavin? - zapytała, próbując wyjrzeć przez półotwarte drzwi. W zapadających ciemnościach mogła zobaczyć tylko zarys bramy.

- Pewnie poszedł poszukać kota - odpowiedział Peter. - To miejsce daje mu duże możliwości kontaktu ze zwierzętami, czego brakowało w mieście.

- Powinien przyjść już do domu. Jest już prawie ciemno. - Nie mogła opanować drżenia głosu. Chciała przejść obok męża, wybiec na dwór i zawołać Gavina. Z trudem się powstrzymała. - Proszę, idź i zawołaj go, Peter.

- Za chwilę. - Popatrzył w podłogę, zupełnie jak gdyby miał do powiedzenia coś, o czym nie chciał rozmawiać w obecności chłopca. - Janie, jest coś, co sprawia, że Gavin nie czuje się tu dobrze. Coś, co ma związek ze szkołą. Zapytaj go ty, bo mnie nie powie.

Janie znieruchomiała.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Po jego zachowaniu w samochodzie. Gdy wracaliśmy do domu, milczał. Cały czas po prostu gapił się w okno. Wiesz, jak łatwo przestraszyć dziecko. Drobne przykrości, które dusi w sobie, urastają do

rangi problemu. To na pewno nic wielkiego, ale lepiej się upewnić. Nie spiesz się. Mamy cały weekend przed sobą.

- Zrobiliśmy błąd, zabierając go z tamtej szkoły. Było już dobrze, a teraz Gavin musi zacząć wszystko od nowa.

- To nonsens. - Peter wyczuł wrogość w słowach żony, wcześniej nigdy się to nie zdarzało. - Tutaj będzie mu lepiej. Jest więcej czasu, mniej uczniów i spokojniej niż w dużych szkołach. Tego właśnie Gavin potrzebuje.

- Może tak, a może nie - powiedziała. Próbowała przesunąć się niepostrzeżenie do drzwi i starała się nie okazywać strachu. Drżała na myśl, że Gavin bawi się na dworze teraz, gdy jest ciemno.

- Porozmawiam z nim wieczorem, ale najpierw...

Przeraziła się i o mały włos nie krzyknęła: coś poruszyło się w ciemności za drzewami. Bezkształtna czarna masa, widmowa postać, sunęła z szelestem w ich kierunku. Janie już miała zawołać Petera, gdy nagle rozpoznała w przybylszu własnego syna. Z ulgą wpatrywała się w bladą, piegowatą twarzączkę chłopca.

- Natychmiast wejdź do środka, Gavin! - krzyknęła histerycznie. - Nie lubię, kiedy jesteś po zmroku na dworze.

Gavin posłał ojcu pytające spojrzenie: „Co, u diabła, stało się mamie?”

- Zostań lepiej w domu, Gav - powiedział wolno Peter. Wiedział, że musi załagodzić sytuację, zanim dojdzie do awantury. - Jutro jest

sobota. Masz cały weekend na zabawę.

Przez chwilę wszyscy milczeli w napięciu.

- Nie mogę znaleźć Snowy, tatusiu. Nie ma jej nigdzie, ale słyszałem, jak coś rusza się w stodole. Gdybym miał latarkę...

- Pewnie szczury. - Peter pożałował tych słów, gdy tylko je wypowiedział. Chryste! Przecież Janie bała się wszystkich małych stworzonek. To cud, że nie usłyszała w nocy myszy.

- Szczury?! - krzyknęła, drżąc z przerażenia. - Peter, nie chcesz chyba powiedzieć, że tu są szczury!?

- W starym domu zawsze znajdzie się jakiś szczur czy mysz - próbował zbagatelizować sprawę. - Może właśnie któryś szukał nowego schronienia. Zresztą Gavin mógł się pomylić, a jeśli nawet nie, to Snowy na pewno się tym zajmie.

Janie trzasnęła drzwiami. Klamka odskoczyła i drzwi otworzyły się z powrotem. Oparła się na nich całym ciałem, zatrzasnęła je znowu i zaryglowała. „Boże, pozwól mi odizolować się od tej przerażającej nocy!”

- Zaraz będzie herbata. - Z wysiłkiem opanowała drżenie głosu.

Słuchała głośnego bicia własnego serca. Chciała, żeby oni tego nie usłyszeli. Świadomość, że wszyscy są w domu i nikt już nie wychodzi, powoli koła jej stargane nerwy.

Kiedy o wpół do dziesiątej wchodziła po schodach na górę, spodziewała się zastać Gavina w łóżku. W pokoju o niskim stropie pachniało butwiejącym drewnem, a ze ścian sypał się tynk. Pociągnęła nosem otwierając drzwi i stanęła zaskoczona.

Gavin siedział na brzegu łóżka całkowicie ubrany i wpatrywał się w ścianę. Nie zmartwiłaby się, gdyby bawił się w wojnę lub czytał, ale on nie robił nic. Zobaczył ją, lecz na jego bladej twarzy nie pojawił się uśmiech. Gavin bał się.

Janie westchnęła głęboko. Czowała, że jej lęk powraca, a serce znów bije szybciej.

- Co się stało? - zapytała podchodząc.

Usiadła na łóżku obok syna i objęła go ramieniem. Czowała, że za moment wybuchnie płaczem, ale dla dobra chłopca musiała powstrzymać łzy.

- Snowy zginęła. - Jednak z tonu jego głosu wywnioskowała, że zaginięcie kota nie było prawdziwym problemem. Wszyscy starali się kłamstwem pokryć swoje zmartwienie.

- Na pewno poluje na szczury albo myszy. - Zadrżała na samą myśl o tym. - Ale coś jeszcze cię trapi, prawda, Gav?

Zamiast odpowiedzi usłyszała stłumiony szloch.

- No, możesz powiedzieć mamusi. - Nie nazywał jej tak co najmniej od dwóch lat. Chwilami myślała, że po prostu wydorósł. Ale teraz znów wydawał się jej małym chłopcem, który zwierza się мамie ze swoich problemów.

- To... to... Wilsonowie - wyszeptał zdławionym głosem.
- A kim są Wilsonowie?
- To starsi chłopcy ze szkoły. Chcą zabić mnie w poniedziałek. - Gavin rozplakał się.
- Zrobiliby to dzisiaj po lekcjach na boisku, ale tatuś wcześniej przyjechał.
- To absurdalne - Janie poczuła wrogość do nieznajomych wiejskich urwisów. - Nie martw się. Wątpię, by było to coś więcej niż zwykłe pogrożki. Zapomną o tym do poniedziałku. Zresztą nie odważyliby się.
- Odważą się! - krzyknął. - Podbili oko Kevinowi Arnoldowi w środę, a w czwartek skopali go w czasie przerwy.
- A co powiedział na to pan Hughes?
- Nie wie, kto to zrobił, a Kevin nie powie, bo się boi, że naprawdę mu dołożą. Pan Huges też się boi Wilsonów, bo gdyby ich ukarał, ich starsi bracia mogliby poprzecinać opony w jego samochodzie albo wrzucić mu cegłę przez okno. Wszyscy boją się Wilsonów, mamusiu!
- Ależ ty nie musisz się bać! - Janie zacisnęła pięści. - To tylko niegrzeczne urwisy, tacy jak łobuziaki z Londynu. A właściwie, za co oni chcą ciebie zabić?
- Mówią... że jestem Anglikiem... bękartem - Gavin zakrzuszył się szlochem.
- Cóż, sądzę, że to walijscy... - urwała w porę. - Wydaje mi się, że naśladują tych walijskich nacjonalistów, których widzieli w telewizji.

Dla nich nic, co angielskie, nie może być dobre. Spryskują farbą w aerozolu angielskie znaki i podkładają ogień pod angielskie domki letniskowe. Nie znoszą Anglików na swoim terenie. Dobry Boże, to wygląda zupełnie jak przygraniczne zamieszki przed laty. Ten chłopiec, Kevin Arnold jest Anglikiem, prawda?

- Tak. - Gavin przytulił się do matki. - Oni mówią, że nie mamy prawa mieszkać w Hodre. Zbiją mnie, żeby wam pokazać, co się stanie, jeśli nie wyjedziemy.

- Nie będziemy tolerować takiego zachowania ani w szkole, ani gdzie indziej. - Janie zacisnęła zęby. - Jestem pewna, że twój tatuś pojedzie i porozmawia z panem Hughesem w poniedziałek.

- Nie! Nie! Mamusiu, nie pozwól, żeby tatuś to zrobił, bo Wilsonowie mnie zabiją!

Janie westchnęła. Gavin był przerażony. Wilsonowie najwyraźniej trzęśli całą szkołą. Wszystkiemu był winien Peter. Nie trzeba było tu przyjeżdżać. W Perrycroft nigdy nie mieli takich problemów.

Pomogła Gavinowi przebrać się w piżamę, tak samo jak wtedy, gdy był mały. Czują, że cały drży. Nie opierał się. Dziewięcioletni chłopak na pewno by się wstydził w takiej sytuacji, ale Gavin był za bardzo przerażony, by się czymkolwiek przejmować.

Kiedy Janie zeszła wąskimi schodami, usłyszała stukanie maszyny w pokoju Petera.

W tej chwili nienawidziła męża za to, na co ich narażał. Mogli przecież prowadzić nadal spokojne życie w Perrycroft, pracować od dziewiątej do piątej i niczym się nie martwić. Dlaczego on uparł się, żeby to zmieniać.

Dobrze znała odpowiedź na te wszystkie pytania. Peter nie chciał podporządkować się zasadom codziennego życia. Chciał wciąż więcej i więcej pieniędzy, a ona i Gavin przestali się liczyć.

Ale ktoś musi zrobić porządek z tymi Wilsonami. Jeżeli będzie trzeba, zrobi to sama.

Nagle stanęła i zaczęła nasłuchiwać. Tak! Myszy! O, Boże! Poczwała dreszcze. Przez moment zapragnęła pobiec do drzwi i uciec z tej pełnej robactwa rudery. Ale bardziej bała się nieznanego, czyhającego gdzieś w mroku niż myszy i szczurów.

Coś czaiło się w ciemności górskiej nocy, Janie to czuła.



## 2

Foggowie lubili w sobotnie ranki powylegiwać się w łóżku trochę dłużej niż na co dzień. I chociaż sobota była dniem pracowitym, bo ktoś musiał zrobić zakupy, umyć samochód, skosić trawnik, perspektywa tych wszystkich zajęć nie niszczyła przyjemności porannego relaksu.

Janie mruknęła z niezadowoleniem na widok szarego poranka, zaglądnąca przez okna sypialni. W mgnieniu oka wróciły wszystkie problemy poprzedniego dnia: Wilsonowie, gryzonie, brak gazu, dzwiganie wiader węgla, ślady węgla na kuchennej podłodze i rozpalenie w starym, dymiącym piecu. Najbardziej jednak niepokoiła się o Gavina. Wieczorem powiedziała o wszystkim Peterowi. Oczekiwała, że może w napadzie wściekłości będzie chciał pobiec i zabić Wilsonów gołymi rękami. Ale on powiedział tylko: „Paskudna sprawa. Trzeba to będzie bardzo ostrożnie rozegrać”.

Co on zamierza zrobić, co stanie się z Gavinem w poniedziałek?

Obudziła się już całkowicie, wysunęła spod kołdry i z uczuciem niepokoju pobiegła do sypialni syna. Kiedy zaglądała do niego wieczorem, leżał z zamkniętymi oczami, ale udawał tylko, że śpi.

Otworzyła drzwi i zajrzała do małego pokoiku. Było ciemno, bo ciągnięte zasłony skutecznie zatrzymywały nieprzyjemne światło zimnego, listopadowego dnia. Stała i czekała, aż oczy przyzwyczają się

do ciemności.

- O Boże, nie! - jęknęła. Zapaliła światło. W pierwszym odruchu podbiegła do łóżka i zaczęła przewracać pościel, jakby jej syn mógł ukryć się pod kołdrą tak, że go nie zauważyła. W panice rozglądała się po pokoju. Gavina nie było.

- Co się tu dzieje! - Usłyszała za sobą głos męża. Peter obudzony jej okrzykiem, przybiegł do sypialni syna zaspany i zły.

- Gavin. Nie ma go! - Janie była przerażona. Tym razem nie udało jej się opanować i gromadzony przez tydzień strach zmusił ją do krzyku.

- Na miłość boską! Peter, zrób co! Znajdź go!

- Weź się w garść - przytrzymał ją mocno za ręce, zastanawiając się, jak mają uspokoić. - Chłopiec nie musi czekać na nas, żeby wstać. - Zauważył piżamę na krześle, na którym wieczorem leżało ubranie Gavina. - Do diabła, nie ma się czym denerwować. Przynajmniej na razie. Sprawdź, czy nie ma go na dole.

Peter czuł, że Janie idzie za nim, trzymając go za bluzę od piżamy. Nigdy się tak nie zachowywała, ale teraz była jak oszalała.

Sprawdził pokoje, a potem wrócił do kuchni. Gavina nigdzie nie było. Odwrócił się twarzą do żony. W jej oczach widział strach. Mógł sobie wyobrazić, co myślała: „Wiedziałam, że coś było tam, na zewnątrz wczorajszej nocy. Teraz oni porwali moje dziecko!”

- Może wyszedł. - Peter wiedział, że głos mu drży, ale miał nadzieję, że Janie tego nie zauważy. Psiakrew! Wyprowadzała go z równowagi.

- Więc chodźmy i poszukajmy go - skierowała się do tylnych drzwi.

- Posłuchaj - przytrzymał ją. - Ubierzmy się najpierw. Nie możemy włożyć się w piżamach po dworze. Jest listopad.

- To nie ma znaczenia. Mogę dostać zapalenia płuc, ale muszę odnaleźć moje dziecko!

Peter chwycił ją za rękę i pociągnął ku schodom. Janie z trudem weszła na górę. Długo trwało, zanim się ubrała, gdyż utrudniało jej to drżenie rąk.

W końcu zeszła z mężem na dół, a potem dalej, do zaniedbanego ogrodu, który zarośnięty był przekwitającymi naparstnicami. Zanim dotarli do rozwalających się schodów, prowadzących do szopy, byli już mokrzy od rosy. Janie zauważyła rzeczy, których nie dostrzegła w ciągu minionego tygodnia: brak wielu dachówek, podziurawione przez korniki, połamane belki, które w każdej chwili mogły się zawalić. Hodre wydawało się albo martwe, albo konające.

Otworzyła usta, by zawołać Gavina, ale głos uwiązał jej w gardle. Od-  
ruchowo cofnęła się, kiedy Peter pchnął ciężkie, skrzypiące drzwi. On też bał się tego, co mógł tam zobaczyć, ale musiał spojrzeć.

- Nie ma go tutaj - odwrócił się puściwszy drzwi.

W świetle wczesnego ranka jego nieogolona twarz wyglądała zupełnie szaro. - Musiał pójść w kierunku pól.

- O nie, nie tam. Tam jest las, taki ciemny i straszny. Nie wiadomo, co kryje się w jego gąszczu. On nigdy nie poszedłby do lasu - powiedziała, ale czuła, że Gavin mógłby to zrobić.

- Lepiej sprawdźmy. - Peter zszedł na dół i objął ją, jakby nagle potrzebował jej wsparcia.

Ogromny las wyglądał jak ciemna, zbita masa drzew. W szarej mgle przypominał drzemiącego potwora z kolcami na grzbiecie. Słaby, złoty poblask na ścieżce pod ich stopami wskazywał, że słońce już wzeszło, choć niebo było zasnute chmurami. Janie bała się patrzeć przed siebie, ale nie mogła się powstrzymać. Spojrzała na ścianę lasu. Dostrzegła na łące kilka owiec, królika czy zającą. Wydało się jej śmieszne, że zauważa takie rzeczy, chociaż czuła się zupełnie rozbita.

Gavina nie było na polach. W takim razie musiał być w lesie. Ten przeklęty las mógł ciągnąć się całymi milami. Janie miała wrażenie, że ukrywa się w nim jakieś zło.

- Nie poszedłby w głąb lasu. - Peter miał nadzieję, że przekona Janie, ale sam nie potrafił uwierzyć we własne słowa. - Musimy pójść tam wyżej, wtedy będziemy mogli go zawołać.

- Jeżeli tam dojdziemy! - Janie oparła się na ramieniu męża. Łydki bolały ją już po pierwszych stu jardach. Pomyślała, że za chwilę

zwymiotuje albo wybuchnie płaczem. Z trudem łapała oddech.

Owce popatrzyły na nich z zaciekawieniem, zbiły się w gromadkę i uciekły, jakby nigdy nie widziały ludzi. Jedna z nich kulała, może skaleczyła się w nogę. Janie było żal zwierzęcia.

W końcu podeszli tak blisko lasu, że stojąc w cieniu najbliższych drzew, niemal czuli jego wrogość. W złowróznej ciszy słyszeli tylko spadające krople i przypominało to chińskie tortury wodne. Gdzieś w zbitej gęstwinie zaskrzeczała sroka, a Janie wydało się, że to odgłos dalekich strzałów.

- Gavin! - zawołał Peter i zamilkł, zdumiony słabością swojego mocnego zwykle głosu. To ta gęsta, opadająca mgła tłumiała jego wołanie, nie pozwalając mu nawet zabrzmieć echem.

Stali tam jak dwoje obcych ludzi, którzy nie śmia popatrzeć na siebie, bojąc się ujrzeć strach na twarzy drugiej osoby.

- On musi być gdzieś tutaj - mruknął Peter. Znowu pomyślał, że trzeba pójść do lasu. Ale Gavina na pewno tam nie było, bo i po co miałby tam iść. Lecz czy chłopcy w jego wieku potrzebują powodów? Często wystarczy ciekawość.

- Posłuchaj! - Janie chwyciła go za rękę tak mocno, że paznokcie wbiły się w jego skórę, niczym szpony drapieżnika.

Oboje wsłuchali się w ciszę. Sroka znowu zaskrzeczała, jakby nie chciała, by naruszający spokój lasu przybysze usłyszeli to, co ich

interesowało. Jakiś ruch w zaroślach, coś dużego musiało nadeprnąć i złamać gałązkę.

Janie całą duszą zapragnęła uciec, uciec jak najdalej stąd. Strach z poprzedniej nocy powrócił niczym wilgotna, lodowata chmura, przyniesiona północnym wiatrem. Przejmował ją dreszczem. Coś było tutaj, tym razem naprawdę coś było.

Potwór przedzierał się przez suche trawy. Było to czarne, rogate stworzenie o ogromnych oczach, którymi przyglądało się skulonym ze strachu ludziom. Potem monstrum nagle zawróciło.

- To... to... owca! - z ulgą wyszeptała Janie.

- Mówiąc dokładniej: baran. - Peter starał się, by w jego głosie zabrzmiało lekceważenie. - Nic, co mogłoby wzbudzać niepokój.

- Ale gdzie jest Gavin?

Znowu ta przerażająca cisza! Strach i poczucie bezsilności wróciło.

- On musi być...

Słowa Petera utonęły w przeraźliwym jęku, który przedarł się przez nieprzeniknioną mgłę. Niespodziewany blask słońca oświetlił ich niczym parę zapomnianych aktorów w upiornym teatrze.

- Co to? - Janie zacisnęła rękę na ramieniu męża. Poczowała, że on także drżał.

- Ten dźwięk przypomina piłowanie łańcuchów - mruknął. - To mogą być odgłosy jakiś leśnych robót.

Głośniejszy, świdrujący dźwięk, przypominający hałas wielkiego miasta, otoczył ich. Powietrze napełnił słaby zapach benzyny.

- Patrz - Janie pokazała coś w dolinie, w której leżało Hodre. - To... to...

- Motocykle - w jego głosie brzmiała pogarda. Widział maszyny. Dwie podskakiwały na nierównym zboczcu. Ludzie chyba cudem utrzymywali się na siodełkach.

- Psiakrew! Mieliśmy tego dosyć w Perrycroft. Co noc te wstrętne dzieciaki jeżdżące po ulicach po to tylko, by przeszkadzać innym.

- Tam jest Gavin! - wrzask Janie zagłuszył motory.

Nawet z tej odległości nie mogła się pomylić. To był on: drobny, chudy, w wypłowiałych dżinsach. Rude włosy rozwiane w pędzie. Uciekał przed motocyklami nacierającymi z dwóch stron.

- O Boże! - Janie już biegła naprzód, ciągnąc za sobą Petera. - Oni go rozjadą, zabiją moje dziecko!

Zbiegali po śliskim zboczcu, nie zwracając uwagi na błoto i kamienie. Warkot motorów tłumił ich wołanie. Motocykle polowały na chłopca. Najeżdżały wprost na niego, by skrócić w ostatniej chwili. Okrężyły go, zmuszały do ucieczki w coraz to inną stronę, a po chwili znówu się pojawiały, tuż tuż przed stopami dziecka. Bawiły się nim jak psy zbłąkaną owcą.

- Oni chyba oszaleli! - krzyknęła Janie. - Czy nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa?!

Peterowi brakowało oddechu, więc nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę z tego, że prześladowcy dręczą Gavina rozmyślnie, podobnie jak czynili to Wilsonowie w szkole.

Byli coraz bliżej. Pokonywali przestrzeń w zadziwiającym tempie. Z odległości trzydziestu jardów widać było całą brutalność tej przerażającej zabawy. Twarze czarno odzianych wyrostków były pełne nienawiści. Skośne oczy nadawały im nieco orientalny wygląd, a wąskie usta zdradzały okrucieństwo. Byli braćmi, może nawet bliźniakami.

Znowu zawrócili. Z szyderczym uśmiechem na twarzach patrzyli, jak chłopiec traci oddech i potyka się na nierównym gruncie. Janie wiedziała, że Gavin płacze i próbuje ukryć swą bladą z przerażenia twarz w dłoniach. Nie miał dokąd uciec. Nie mogła dłużej na to patrzeć. Kiedy chłopiec nie będzie miał siły uciekać, rozjadą go. I tym razem motocykle zmieniły kurs niemal na sekundę przed katastrofą. Gavin upadł na ziemię.

- Przestańcie, gówniarze! - Peter osłonił chłopca i stanął z zacisniętymi pięściami, gotów rozszarpać napastników.

Motocykliści robili kolejne okrążenie. Widok Petera rozbawił ich: cóż znaczył jeden pieszy więcej?! Dadzą mu nauczkę.

Peter widział, że jadą wprost na niego, ale nawet nie drgnął. Wiedział, że skrećą w ostatniej chwili. Bał się tylko o Janie - stała zbyt blisko. Rzucił jej szybkie spojrzenie. Tymczasem motocykliści z furią zbliżali się do niego.

Zobaczył, że koła skrecają, by go ominąć. Stanął mocniej. Teraz on im pokaże. Wybrał tego z prawej. Pchnął błyskawicznie. Poczł uderzenie w ramię.



Zaklął z bólu i cofnął się, niemal ocierając o drugą maszynę.

Wszystko stało się tak szybko! Motocyklista jechał jeszcze przez chwilę, a potem wraz z maszyną przewrócił się na ziemię.

Peter odzyskał równowagę i podszedł do leżącego. Chłopak był zasokowany. Zwinął się w kłębek, nie rozumiejąc, co się stało.

- Ty zapchlona, mała świnió! - Peter schwycił go za kłapy skórzaney kurtki. Spojrzał w pełną nienawiści twarz. - Mogliście zabić mojego syna. Powinienem was wychłostać.

Chłopak spojrzał na niego spod przymrużonych powiek. Zacisnął wąskie usta i splunął prosto w twarz Petera. Minęła sekunda, zanim rozwścieczony Peter zareagował. Jego pięść wylądowała na twarzy prześladowcy Gavina. Głowa odskoczyła do tyłu. Peter zwolnił uścisk, a chłopak stracił równowagę i upadł ciężko na ziemię.

Zapanowała przerażająca cisza. Peter odwrócił się i popatrzył na Janie tulącą do siebie syna. Koła przewróconego motocykla wciąż się kręciły. Drugi chłopak stał trzy lub cztery jardy dalej, nie mogąc zrozumieć, co się stało.

- Do diabła! Co tu robicie? Wiecie, że to prywatny teren. - Peter przerwał ciszę. Popatrzył na podnoszącego się chłopaka, na strużkę krwi płynącą z rozciętej wargi i podartą kurtkę. - To tylko próbka tego, co czeka was następnym razem. Posłuchajcie mojej rady i trzymajcie

się z daleka od Hodre. Macie szczęście, że nie wezwałem policji.

Nie odpowiedzieli. Patrzyli na niego wyzywająco. Poczul, że wzbiera w nim złość. Niech tylko się odezwą, przeklećci. Ale oni tylko ustawili przewrócony motocykl, usiedli na siodełkach, splunęli i ruszyli. Wibrujący ryk motorów przeszył Janie na wskroś. Peter obserwował odjeżdżających. Typowi zmotoryzowani chuligani. Hodre czy Perrycroft - jedni gorsi od drugich.

- Gdzie byłeś? - Janie chciała skrzyknąć Gavina, ale nie była w stanie. Z trudem powstrzymała łzy.

- Poszedłem poszukać Snowy. - Gavin drżał. - Coś się jej stało. Wiem, że tak. Ona jest g d z i e ś t u t a j - drżącą dłonią pokazał las, tak samo złowrogi jak o świcie. Drzewa zdawały się ostrzegać przed wejściem w gąszcz.

- No, to ich nauczycy porządku. - Peter chwycił się za ramię i syknął z bólu. - Jestem przekonany, że szybko się tu nie pokażą.

- Tato! - Gavin był przerażony. Jego strach wzrósł, chociaż motocykle już odjechały. - Tatusiu! Nie powinieneś być tego robić. Dopiero teraz jestem w prawdziwych tarapatach.

- O czym ty mówisz? Dałem im tylko nauczkę. Nie wrócą tu. Uwierz mi.

- Tatusiu! Nie wiesz, kim oni są! - Chłopiec prawie płakał.

- Nie, i wcale mnie to nie obchodzi.

- Ale mnie tak! Wilsonowie zabijają mnie w poniedziałek. To byli bracia Dai i Ralph. Teraz mi dopiero pokażą.

Peter stał oniemiały. Matka i syn drżeli przytuleni do siebie. Spojrzeniami obwiniali go za to, co zrobił.

- Nie bądźcie śmieszni - oblizwał suche wargi. Poczul strużki potu na plecach i gęsią skórę na karku. - Nie dam się zastraszyć bandzie wyrostków, nawet jeśli sterroryzowali całą wioskę. Przede wszystkim porozmawiam w poniedziałek z panem Hughesem, a jeśli to nie pomoże, pójdę na policję. Jeżeli Wilsonowie mają choć odrobinę zdrowego rozsądku, zapomną o dzisiejszym wydarzeniu.

Janie zamknęła oczy. Przez chwilę czuła zawroty głowy. Gdzieś daleko usłyszała natrętne brzęczenie, przypominające odgłosy pszczelego ula. To były motocykle. Wilsonowie wracali przez las do domu. Może już obmyślali zemstę.

Otworzyła oczy i znów zobaczyła ciemne jodły w oddali. Poczula, że Gavin ściska ją z całej siły za rękę.

- Chodźmy lepiej do domu - powiedziała.

Jak najszybciej chciała znaleźć się z dala od tego miejsca. Nie tylko od Wilsonów. Oni byli tylko częścią tego, czego się bała. Czuła to, miała świadomość, że coś tam było. Śledziło ją, osaczało i nienawidziło. C o ś p i e k i e l n e g o .

### 3

Wioska Woodside nie zmieniła się w ciągu ostatnich stu lat. Wąska, kręta droga powstała na długo wcześniej, zanim samochody zaczęły wypierać tradycyjne środki transportu. Jedyne niepozorny sklep wśród kamiennych domków zdawał się chować przed przybyszami. Kościół wymagał gruntownego i kosztownego remontu. Stary kościelny wciąż kosił trawę na cmentarzu ręcznie, bo uważał, że nowoczesne kosiarki są do niczego i robią za dużo hałasu, jak na miejsce wiecznego spoczynku.

Oberża „Kot”, podobnie jak wszystko inne w Woodside, także oparła się postępowi. Malownicze wnętrza mogło przyciągać klientów z daleka, ale Eli Lewis, oberżysta, uważał, że to nigdy nie powinno mieć miejsca. Obcych odstraszały grube warstwy kurzu na barze i półkach oraz nieprzyjemne zachowanie Eliego i jego starzejącej się żony. Zamiejscowi byli obsługiwani w milczeniu z miną, którą można było odczytać jako dobrą radę: „Dopij piwo i wynoś się”.

Był niedzielny wieczór. Janie, wchodząc do oberży, zdała sobie sprawę z nieprzyjemnych nastrojów. Szare oczy właściciela zatrzymały się na Gavinie. Już oczekiwała, że gospodarz powie: „O nie, dzieciom nie wolno wchodzić do baru”. Ale nie zrobił tego. Może był tylko ciekawy, kto przyszedł.

- Piwo, džin z lemoniadą i sok pomarańczowy - Peter rozejrzał się po pomieszczeniu. Czterej starzy mężczyźni, ubrani w niedzielne

garnitury, które musiały wcześniej należeć do ich ojców, grali w domino w kącie sali. Dwaj inni, około czterdziestki, siedzieli i ze stoickim spokojem obserwowali nowoprzybyłych sponad kufli z piwem. Ci byli prawdopodobnie farmerami, ponieważ wciąż mieli na sobie robocze ubrania. Sprawiali wrażenie obrażonych, że zakłócono ich codzienny rytuał popołudniowego spotkania w „Kocie”. Palce mężczyzn były zgrabiałe i wykrzywione. Jeden z nich miał tak splątane włosy, że oparłyby się najmocniejszym grzebieniom. Drugi był łysawy, a jego nos nosił ślady złamania. Sprawiali wrażenie prymitywnych, nieokrzesanych ludzi.

Eli Lewis nie spieszył się z realizacją zamówienia. Rozmyślnie zdmuchnął kurz ze szklaneczki, zanim nappełnił ją sokiem. Patrzył na Janie, jakby oczekiwał komentarza o braku higieny.

Janie rozejrzała się dookoła. Pragnęła, aby dwaj mężczyźni na drugim końcu sali przestali ich obserwować. Ich spojrzenia sprawiały, że ożywał w niej ten sam strach, który prześladował ją w Hodre. Znów ogarnęło ją pragnienie ucieczki, ukrycia się. Czuła się tak, jakby nie miała prawa tu być.

- Zdrowie! - Peter postawił drinki na rozklekotanym stole. - Wypijmy za następne wizyty w „Kocie”.

Pochylił się nad stołem. Gavin bawił się szklaneczką, a Janie oglądała swoje paznokcie. Ktoś musiał przerwać tę ciszę i tylko on mógł to zrobić.

- Macie tu przyjemny bar - Uwaga skierowana była do Eli Lewisa, który pojawił się za kontuarem i zabrał energicznie do ścierania kurzu z półek ze szklaneczkami. - Pewnie latem jest tu dużo gości.

- Nie. - Głos Eliego przypominał Peterowi trzeszczenie zardzewiałych zawiasów. - Woodside jest wioską, która chce utrzymać swoją odrębność. Nie życzymy sobie tu obcych.

- Również nas? - W pytaniu Petera brzmiał gniew. Jeśli ci ludzie pragną wywołać awanturę, on na pewno nie pozostanie bierny.

- Chodzi nie tylko o was. - Oberżysta dalej ścierał kurze. - Miałem na myśli obcych w ogóle. Jakie prawo miał ten Blackstone, właściciel Hodre, aby kupować naszą ziemię? On nawet tu nie mieszka i wynajmuje dom mieszczuchom, pozwalając, by to miejsce popadło w ruinę.

- Przecież Hodre było wystawione na sprzedaż przez całe miesiące, zanim on je kupił - rzucił Peter. - Mieszkańcy mieli szansę je kupić.

- Nie o to chodzi. Hodre nie powinno być sprzedane komuś spoza wioski.

- Cóż, ja nie mieszkałbym tam nawet za darmo - odezwał się nagle jeden z mężczyzn siedzących obok Foggów. - Ani ja, ani Don, bo on zna to miejsce tak samo dobrze jak ja. Nieprawdaż Don?

- Prawda - Facet o imieniu Don gapił się w swoje piwo. - Nie poszlibyśmy tam nocą, prawda, Mick?

- Nie, nie poszlibyśmy, Don. - Ich rozmowa była łańcuchem dziwnych, nienaturalnych pytań i odpowiedzi. - Nie chcielibyśmy znaleźć

się w pobliżu Horde. Nie po tym, co się stało Beddoesom, prawda, Don?

- Tak. - Potem nastąpiła cisza.

Peter czuł, że wyprowadzają go z równowagi. „O Boże, ci opoje chcą nas przestraszyć.”

- Najpierw chłopak i ten wypadek z koniem. Od razu było widać, że to szalony koń. Nie powinni pozwalać dzieciakowi zbliżać się do niego. Zrzucił chłopca i ciągnął przez pole, aż w końcu dziecko roztrzaskało sobie głowę o schody szopy. Jeszcze teraz można zobaczyć ślady krwi na dolnym stopniu. Trzeba tylko przyjrzeć się uważnie, prawda, Don?

- Tak, jeśli znajdzie się idiota, który tam pójdzie. W ciągu dnia dostają gęziej skórki na myśl o tym, a nocą można tam zwariować ze strachu. Ale my nigdy tam nie pójdziemy, prawda, Mick?

- Kobieta Beddoesa też nie pożyła zbyt długo, prawda, Don?

- Masz rację, Mick. Mówili, że to rak, naturalne przyczyny. Ale w Horde nic nie dzieje się naturalnie. Kiedy zbliżał się już koniec, nawet narkotyki, które jej dawali, nie mogły powstrzymać krzyku. Niektórzy mówią, że po zmroku wciąż jeszcze ją słyszą. Ja jednak uważam, że krzyki pochodzą z kamiennego kręgu.

- Pewnie tak, a przynajmniej tak mówią. Ale ja nie poszedłbym tam, aby to sprawdzić. Mówią, że kobieta Beddoesa została spalona, bo

chcieli zniszczyć to coś, co ją zabiło. Stary człowiek nie powinien tam zostać sam.

- Mówią, że kiedy go znaleźli w kręgu, miał twarz podziobaną przez kruki. Znajdowało się w nim, w środku, gniazdo os. Musieli je wyrzucać, zanim zabrali ciało do kostnicy. Kiedy patrzyło się na jego twarz, wydawało się, że w chwili śmierci był śmiertelnie przerażony. Powiedz mi, Mick, czy facet, który stracił wszystko, bałby się o siebie? I dlaczego szedł aż do kręgu kamieni?

- Nie wiem. On cierpiał tak bardzo, że nie czuł strachu przed śmiercią.

- Myślę, że stary Beddoes zobaczył coś przed śmiercią.

- To prawda. Dlatego właśnie ten facet, Blackstone, nie mieszka tutaj. Dowiedział się o tym wszystkim za późno, kiedy już kupił Hodre. Nie mogą zgodzić się z Ruskinem, a poza tym Blackstone jest zbyt uparty, by sprzedać tę ziemię. Nie pozostało mu więc nic innego, jak wynajmować domek.

Peter poczuł, że nagle zaschło mu w gardle. Napił się, ale piwo nie smakowało mu. Popatrzył na Janie. Była blada. Obejmowała Gavina ramieniem. Jej spojrzenie napotkało wzrok Petera. Janie winiła go za to, że ich tutaj przywiózł. Jej oczy mówiły: „Chodźmy, Peter, Gavin jest przerażony całą tą gadaniną. Nie będzie mógł spać tej nocy. Musimy wyjechać z Hodre.”

Peter zdawał sobie sprawę z faktu, że cała rozmowa mężczyzn była przeznaczona przede wszystkim dla ich uszu. Z jakiegoś powodu ci



faceci chcieli się pozbyć nowych mieszkańców Hodre. Czy tylko dlatego, że są obcy, czy dla jakichś innych powodów? Zaległa cisza. Słychać było tylko stukanie domina i trzask płonących polan.

- Nie wierzę w duchy i tym podobne bzdury. - Miał nadzieję, że nikt nie dosłyszał przerażenia w jego głosie. - Wszystkie nieszczęścia, które spadły na rodzinę Beddoesów, były spowodowane nadmiarem zmartwień. Matka umarła na raka. Po jej śmierci ojciec już nie miał po co żyć i popełnił samobójstwo. Stąd te wszystkie plotki.

- A skąd krzyki, które słychać po nocach? - Don przeszył Petera świdrującym spojrzeniem. - Niech pan to wyjaśni.

- Cóż, my nie słyszeliśmy żadnych krzyków - uciął dyskusję Peter.

- Ach, jeszcze nie słyszeliście? - Mick zaśmiał się nerwowo. - Ale jesteście tu chyba dopiero tydzień? Na pewno będziecie je słyszeć co noc. Może mi pan wierzyć. Poczekajcie, a usłyszycie. Mam nadzieję, że nie będzie wtedy za późno.

Janie wypila swój džin, sok Gavina pozostał nietknięty.

- Będzie lepiej, jeśli już pójdziemy. Jest już późno, a Gavin idzie jutro do szkoły.

- Zaraz... - Peter starał się, by to, co mówił, zabrzmiało obojętnie. - Jeszcze nie skończyłem swojego drinka.

Mick i Don byli już na nogach. Ciężkie buty zaszurały po kamiennej posadzce. Peter ze zdziwieniem zauważył, że obaj nosili skórzane ochraniacze na kolana i sztylpy sięgające połowy łydek. Był to zapewne spadek po dziadkach-farmerach.

- Dobranoc, Eli. - Obaj byli już przy drzwiach.
- Dobranoc, chłopcy. Do zobaczenia w tygodniu, chociaż przypuszczam, że z powodu pełni księżyca nie spotkamy się we wtorek.

Janie stała jak skamieniała. Ci ludzie, żyjący z dala od cywilizowanego świata, byli chyba niespełna rozumu. Co wspólnego miał księżyc w pełni z odwiedzaniem baru? Poczula dreszcze. Peter niepotrzebnie przedłużał pobyt tutaj. Czowała, że Gavin drży. Źle się stało, że go zabrali ze sobą.

Znowu słycać było tylko grzechoczące kostki dominai trzask ognia w kominku. Eli Lewis, spoglądając ukradkiem na przybyszów, wciąż wycierał szklanki. Janie czuła, że dłużej tego nie zniesie.

- Ci ludzie pracują w tym tygodniu na nocnej zmianie? - Pytanie wypadło niezręcznie, choć Peter nie chciał być wścibiński.

- Z jednej strony można powiedzieć: tak - Eli mówił powoli - a z drugiej: nie.

Peter zrozumiał, że znaczyło to tyle, co „pilnuj własnego nosa”. Wypił resztkę zwietrzałego piwa.

- Pójdziemy już - powiedział i skinął głową szynkarzowi. Janie odetchnęła z ulgą. - W przyszłym tygodniu może przyjedziemy tu w

sobotę, wtedy zostaniemy dłużej.

- Nie jestem pewny, czy chłopiec będzie mógł przyjść. - Eli Lewis zmrużył nieprzyjaźnie oczy. - Wiem, że pozwala się przyprowadzać dzieciaki do miejskich barów. Moim zdaniem to nie jest nic dobrego ani dla dzieciaków, ani dla handlu. Dzieci ograniczają możliwość rozmowy.

- Gavin z pewnością nie przeszkadzał tym miłym panom. - Peter poczuł, że Janie ciągnie go za rękaw. - Robili, co mogli, by nas przestraszyć.

- Nie ci dwaj - Eli potrząsnął głową. - Oni nie straszyliby umyślnie kobiet i dzieci. Po prostu nie boją się mówić prawdy.

- Cóż, tym razem zdrowo popuścili wodze fantazji. - Peter zaśmiał się z przymusem. - Oczywiście, nie mamy nic przeciwko posłuchaniu miejskowych plotek. Potrafimy potraktować je z przymrużeniem oka.

- Nie robiłbym tego na waszym miejscu. - Eli zacisnął pięści na blacie baru, aż zbielały kostki palców. - Oni nie opowiadają bajek. Posłuchajcie mojej rady i skorzystajcie z ich ostrzeżenia.

Peter poczuł się tak, jakby ktoś otworzył szeroko drzwi i wpuścił silny podmuch arktycznego wiatru.

- Zobaczmy się jeszcze.

- Możliwe. - Szynek znowu chwycił ścierkę. - Lecz, jak powiedziałem, bez chłopca. Obawiam się, że będziecie musieli zostawić go w domu. Przykro mi, ale tak się sprawy mają.

- Co za okropne, przygnębiające miejsce - odezwała się Janie, kiedy byli już w samochodzie. Siedziała na tylnym siedzeniu z Gavinem, który tulił się do niej i mocno trzymał ją za rękę - Nie pojedziemy tam więcej. Jeżeli nie będziesz mógł obejść się bez piwa, będziesz musiał poszukać sobie innego towarzystwa albo jeździć sam. Dostają gęziej skórki na widok tych mężczyzn.

- Typowi wieśniacy. - Peter sprawiał wrażenie skoncentrowanego na prowadzeniu samochodu krętą drogą do Hodre. - Kiedy mieszka się w takiej zapadłej wiosce, to staje się ona jedynym obszarem życia, a wtedy nikt nie chce intruzów, nawet nieszkodliwych. To była tylko niezbyt inteligentna próba pozbycia się nas.

Janie westchnęła. Zmrużyła oczy przed blaskiem silnych świateł samochodu. Głowa ją bolała od myśli, od których nie potrafiła uciec. Co tacy ludzie jak Bostock i Peters mają do roboty w księżycowe noce? Czy z kamiennego kręgu naprawdę dochodziły nocą krzyki? Co oznaczały te ostrzeżenia?

O Boże! Musi przekonać Petera o konieczności wyjazdu. Ci dwaj mieli rację. Czula to. W Hodre czaiła się jakaś złowroga siła.

Wieczorem Janie jak zwykle zajrzała do sypialni synka. Leżał z zaciśniętymi, drżącymi powiekami. Biedny chłopiec był zbyt zdenerwowany, by zasnąć. Po cichu cofnęła się na korytarz. Nie mogła okazać dziecku własnego strachu. Musi wytrzymać jeszcze przez dzień lub dwa, a przez ten czas namówić Petera do wyjazdu. Modliła się, by nic im się nie stało, zanim uciekną. O Boże, każda minuta spędzona w Hodre była piekłem.

Wyszła na schody i znów usłyszała stukanie. Rozgniewała się: Peter nie musiał pracować akurat w niedzielny wieczór. Odebrała to jako lekceważenie jej, Gavina i ich obaw.

Ze złością otworzyła drzwi. Mąż siedział nad maszyną do pisania i uderzał w klawisze. Jedną rękę trzymał uniesioną, jakby chciał uciszyć ją, nim się odezwie.

- Peter! - Miała ochotę tupnąć nogą. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo Gavin się boi?

Skończył stronę i przeczytał ją powoli, zanim odwrócił się do żony. Zachowywał się tak, jakby chciał jej dokuczyć.

- Myślę, że nie jest to aż tak poważne - powiedział. - Porozmawiam dyskretnie z Hughesem o Wilsonach.

- Nie miałam na myśli Wilsonów, tylko dzisiejszą noc. - Kopnięciem zatrzaskała drzwi.

- To wszystko bzdury - zaśmiał się ironicznie. - Dziwię się, że taka inteligentna dziewczyna jak ty zwraca na to uwagę.

- Nic nie rozumiesz. - Jej policzki pokryły rumieniem. - Jesteś za bardzo pochłonięty swoją przeklętą książką, by widzieć, co się wokół ciebie dzieje.

- A co się dzieje?

Chwilę milczała, aby nie wybuchnąć gniewem.

- Nie wiem. Wiem, że coś jest tutaj. Jakaś siła zmusza mnie do ciągłego oglądania się za siebie, do chowania się w domu. Najchętniej pozamykałabym wszystko na klucz. Ale ty niczego nie zauważyłeś. Gdyby tuż obok domu wybuchła bomba, nawet nie zwróciłbyś na to uwagi.

- To tylko wymysły. - Wziął pokrywę od maszyny i założył ją nie-dbale. Zdecydował się skończyć ten rozdział rano. - To po prostu zmiana miejsca pobytu, różnica między miastem a wsią - odosobnienie i cisza. Za kilka tygodni będziesz się tu czuć tak swobodnie, jakbyś nigdy nie mieszkała gdzie indziej.

- Za kilka tygodni! - zawołała. - Peter, na miłość boską! Ani ja, ani Gavin nie wytrzymamy tu jednego dnia dłużej. Wczoraj o mało go nie zabili. On się boi!

- Po prostu obawia się Wilsonów. - Peter wstał i włożył ręce do kieszeni. - Posłuchaj. Załatwię tę sprawę jutro. Zaufaj mi. Czy sądzisz, że gdyby naprawdę coś nam groziło, pozwoliłbym ci tu zostać?

- Jesteś tak uparty, że nigdy niczego nie dostrzegasz. Liczy się tylko twoje pisanie - westchnęła załamana. - Nie ma sensu cię przekonywać. Aha, jeszcze jedno. Ta kotka naprawdę gdzieś się zawieruszyła. Ostatnio widziałam ją w piątek.

- Koty często znikają. Może znalazła jakieś towarzystwo.

Nagle zaczął myśleć o seksie. Tego jednego brakowało mu w Hodre. Może Janie będzie miała okres i stąd to całe zdenerwowanie? Usiłował przypomnieć sobie, kiedy to powinno nastąpić i wtedy usiadł sobie, jak bardzo ostatnio odsunął się od żony.

Janie straciła już nadzieję, że zaśnie. Nie potrafiła się odprężyć. Pomyślała, że musi jutro zrobić zasłonki do sypialni. Przynajmniej odgrodzi się od księżycowego światła.

Była pełnia. Księżyc świecił tak mocno, że w pokoju było widno jak w dzień. W Perrycroft Janie nigdy nie zwracała na to uwagi. Przywykła do pomarańczowej poświaty, wypełniającej sypialnię przez całą noc. Księżyc był tutaj piękniejszy, wiedziała, ale był też bardziej złowieszczy.

Wstrzymała oddech i zaczęła nasłuchiwać. Nie chciała tego robić. Pragnęła zasnąć i zapomnieć o tym okropnym miejscu chociaż na kilka godzin. Jakaś niewidzialna siła zmuszała ją do czuwania. Czy coś lub ktoś zakradnie się tu dziś w nocy? Wyobraźnia podsuwała jej najprzeróżniejsze obrazy.

Peter spał, oddychając miarowo. Do diabła z nim. Był tak mało wrażliwy. Obawiała się o Gavina. Co się może zdarzyć, jeżeli znowu ubierze się i wyjdzie? Nie, tej nocy tego nie zrobi.

Gdzieś w pobliżu zaszczekał pies. Być może to owczarek z farmy Ruskinów po drugiej stronie lasu. Właściwie nie było to szczekanie psa, lecz przeciągłe, upiorne wycie, które odbijało się echem wśród wzgórz. Zastanawiała się, czy mogło się tu przybłąkać jakieś dzikie zwierzę. Tak! O Boże, przecież właśnie w zeszłym roku gdzieś w Walii włóczył się na wolności jakiś ogromny dziki kot, który pozagryzał mnóstwo owiec. I ta puma w Surrey. Przecież prasa informowała, że bestia jest wciąż na wolności! Coś kryło się wśród wzgórz.

Janie zapadła w niespokojną drzemkę, ale podświadomie wciąż nasłuchiwała.

Nagle przez sen usłyszała ochrypły, zduszony krzyk, który wstrząsnął nią niczym porażenie prądem. Poruszył każdy nerw jej ciała. Usiadła przerażona, zatkała uszy, aby nie słyszeć koszmarnej jęku. Próbowała wmówić sobie, że to tylko sen.

Drżała. Cały pokój, zatopiony w złowróbnym świetle księżyca, zdawał się drżeć od tego piekielnego wrzasku.

Przez kilka sekund była jak sparalizowana, niezdolna do tego, by obudzić śpiącego męża. Znowu była w mocy tajemniczej siły, która zawładnęła nią, gdy tylko przyjechali do Hodre.



- Peter! - krzyknęła w końcu. Drżącymi rękami zaczęła szarpać męża za ramię. - Peter, na miłość boską! Obudź się!

- Co się dzieje, do diabła? - odwrócił się, otwierając oczy. - Czy nie mogę się nawet spokojnie wyspać?

- Nie słyszałeś? Musiałeś słyszeć!

- Co słyszeć? - uniósł się na łokciu.

- Ten krzyk. Ktoś krzyczy na dworze! Posłuchaj!

Śluchali razem, głos więcej się nie odezwał. Tylko sowa pohukiwała gdzieś w oddali spokojnie i złowieszczo.

Nagle dotarł do nich kolejny krzyk. Janie przytuliła się do męża. Tym razem dźwięk był zupełnie inny od tego, który ją obudził. Umilkł, a po chwili odpowiedział mu inny.

- Lisy! - Peter nagle wybuchnął śmiechem. - Mój Boże! Więc to są te krzyki, które miejscowi słyszeli nocą w pobliżu Hodre. Ktoś opowiadał, że okres godowy u lisów rozpoczyna się mniej więcej w połowie listopada. Sądziłem, że mieszkańcy wioski powinni o tym wiedzieć.

- Nie! - zaprotestowała Janie. - To nie jest to, co słyszałam, Peter. Pierwszy krzyk był zupełnie inny od tych. Nigdy czegoś podobnego nie słyszałam. To było coś naprawdę niesamowitego.

Do diabła! Nerwy ją zawiodą. Był pewien, że to tylko lisy. Janie dała się zastraszyć podobnie jak wieśniacy. Trzeba ją uspokoić, zanim wpadnie w histerię.

- Mówię ci, że to lisy. Posłuchaj jeszcze raz.

Cisza. Peter słyszał bicie serca Janie, a może własnego. Modlił się, by lisica zawyła jeszcze raz. Zawyła. W kilka sekund później dziki skowyt ponownie rozdarł powietrze. Zwierzęta musiały być gdzieś w tym ogromnym lesie.

- No i co! Nie mówiłem? To tylko lisy.

- To tak - głos Janie drżał. - Ale wtedy nie. Mówię ci, że był to najbardziej nieziemski krzyk, jaki kiedykolwiek słyszałam.

Potrząsnął głową z niezadowoleniem. Kobiety! Kiedy wbiją sobie coś do głowy, w żaden sposób nie można im tego wyperswadować.

- Myśl sobie co chcesz! Ja zamierzam spać, bo jutro muszę się zabrać do pracy. Jestem przekonany, że to lisy i nie chcę więcej o tym słyszeć.

- Ale to nie było w lesie. W każdym razie nie ten głos, który ja słyszałam - krzyczała. - Peter, to dochodziło z kamiennego kręgu!

- Na miłość boską! To wierutna bzdura. Uwierzyłaś w to, co opowiadali ci gamonie w barze. Nic dziwnego, że Gavin się boi. To ty wprowadzasz taką atmosferę. Idę spać, a ty rób, co ci się podoba.

Janie podeszła do okna. Widziała srebrną w blasku księżyca łąkę i nagie wzgórza. W oddali sosny złowrogo panujące na pustym zboczu. Chciała odwrócić się, ale nie mogła. Te drzewa! Były tak blisko, zaledwie kilka jardów stąd. Takie potężne, niemal czuła ich siłę. Stała przeżona i wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w coś, czego nie

mogła zobaczyć, a co ją hipnotyzowało i ostrzegało.

W końcu przemogła się i drżąca wróciła do łóżka. Położyła się obok Petera. Spał już. Głupiec! Zlekceważył ostrzeżenie. Odrzucił je! A następnego może nie być.

Przez resztę nocy leżała, wpatrując się w sufit, rozjaśniony bladym światłem księżycy. W końcu za oknem wstał szary zimowy świt. Biedna Janie wciąż jeszcze miała w pamięci ten straszny krzyk. Był to rozpaczliwy krzyk agonii, rozpacz i przerażenia. Człowiek czy dzika bestia?

Myślała wróciła do drapieżników, które polowały na swoje ofiary. Zgodnie z prawem natury, prawem dżungli.

Teraz dżunglą było Hodre.

## 5

Malcolm Hughes był kierownikiem szkoły w Woodside dwadzieścia pięć lat. Mieszkał w wiosce od dziecka i sam uczył się w tej szkole, zanim wstąpił na uniwersytet. Miał różne propozycje pracy, ale w końcu wrócił do Woodside. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat mógł pójść na emeryturę, ale mówił sobie, że jest w wiosce niezastąpiony. Nikt obcy nie mógłby zrozumieć mieszkańców.

Był łysy i dobrze zbudowany, miał opinię człowieka niezrównoważonego. Przyzwyczał się do tego, że stanowi prawo sam dla siebie. Panna Haverill, która uczyła młodsze dzieci, ciągle się go bała. Pan Hughes uważał jednak, że tak właśnie być powinno. Pamiętał, że gdy on chodził jeszcze do szkoły, nauczyciele też bali się dyrektora. Uważał, że najważniejsza jest dyscyplina. Właśnie brak dyscypliny był, jego zdaniem, przyczyną wszystkich problemów. Aby zapobiec takiej sytuacji, trzymał w ryzach nie tylko uczniów, ale także rodziców.

Malcolm Hughes zapalił fajkę, aby zyskać chwilę czasu do namysłu. Niespokojnym spojrzeniem mierzył młodego mężczyznę, który ośmielił się zakłócić mu spokój poniedziałkowego ranka. Przybysze zawsze stwarzali problemy. Nie byli wychowani w Woodside i szukali jakichś psychologicznych przyczyn, dla których ich dzieci nie mogły sprostać wymaganiom wioski. Obcy niełatwo godzili się z tym, co im mówiono.

Mieli mnóstwo rozmaitych pomysłów, które były oczywiście jedną wielką bzdurą.

Tak... Ten facet, siedzący naprzeciw, to pisarz. Napisał jakąś szmierzę, bez zachowania zasad gramatycznych i marnym językiem. To świętokradztwo, że ten chłystek pisze po angielsku. Poza tym nie uważał za stosowne, by włożyć garnitur na spotkanie z wychowawcą swego syna. Tak... Z pewnością brakowało mu porządnej dyscypliny. Hughes westchnął.

- Mój syn boi się, że zostanie zabity - powiedział Peter Fogg, odsuwając się nieznacznie, by nie znaleźć się w obłoku dymu.

- Ale go nie zabito. - Hughes ściągnął brwi. - Młodzi chłopcy często wymyślają różne historie, ich wyobraźnia jest bardzo bujna i często wyolbrzymiają podwórkowe kłótnie.

- On boi się Wilsonów. - Peter uważnie obserwował swego rozmówcę i zauważył, że dyrektor na moment przymknął chytrze szare oczy.

- Ach, Wilsonowie... - Hughes znów zajął się fajką, by zyskać na czasie. - Są trochę rozbrykani, ale do dobrych chłopcy. Swego czasu musiałem ich trochę utemperować i do tej pory wszystko jest już w porządku.

- Ich starsi bracia usiłovali przejechać Gavina. Zjawili się w Hodre w sobotę rano na swoich motocyklach. Mogli go zabić. Dałem im nauczkę, ale młodszy straszą mego syna, że zabiją go dzisiaj, ponieważ jego rodzice nie są Walijszczykami.

- To nonsens.  
- Właśnie. Dlatego tu jestem.  
- Zapewniam pana, panie... Fogg, że nic takiego nie może mieć miejsca na terenie szkoły. Nie pozwoliłbym na nic więcej niż niewinne igraszki na boisku. Obiecuję to panu.

- W takim razie jak to się stało - zaczął wolno Peter, jakby czekał, aż jego słowa dotrą poprzez kłęby dymu do dyrektora - że tych dwóch małych chuliganów podbiło oko Kevinowi Arnoldowi i skopało go na boisku?

Malcolm Hughes drgnął.

- Panie Fogg, tego już naprawdę za wiele. Oczywiście wiem o tym incydencie. Wilsonowie pokłócili się z Arnoldem podczas zabawy i być może wywiązała się drobna bójka, ale panna Haverill szybko interweniowała i...

- Ale nie dość szybko - uciął Peter. - Niech pan posłucha, panie Hughes. Radzę porzucić te sny o rzekomej dyscyplinie, jaką wprowadził pan w szkole. Obaj doskonale wiemy, że Wilsonowie i być może także jacyś inni chłopcy - to chuligani. Nie zamierzam teraz ubolewać nad okiem Arnolda. Chcę po prostu oznajmić panu, że coś podobnego może spotkać mojego syna. Jeżeli spotka...

- Czy to groźba, panie Fogg? - Malcolm Hughes pochylił się do przodu, a żyły na jego szyi zaznaczyły się wyraźnie niebieskimi pręgami. Peter wstał.

- To zależy od tego, czy cokolwiek stanie się mojemu chłopcu. Pan jest odpowiedzialny za to, żeby nic mu się nie przydarzyło.

Hughes pyknął parę razy z fajeczki. Jak ten przybysz śmie przychodzić tutaj i odzywać się do niego w ten sposób. On sam zna Wilsonów i doskonale pamięta poprzebijane opony swojego samochodu. Są sprawy, na które lepiej przymknąć oko, ale kiedy rodzice zaczynają się skarżyć, życie tutaj staje się bardzo trudne, zwłaszcza jeśli nie jest się Walijszykiem!

Malcolm Hughes był Anglikiem. Miał walijskie imię, ale urodził się w Stoke-Trent. Jego rodzice przybyli do Woodside, kiedy miał trzy lata. Większość ludzi uważała go za Walijszyka - za wyjątkiem Wilsonów! Jakimś cudem dowiedzieli się prawdy. Teraz jego pozycja w wiosce wisiała na włosku. Trudno było przewidzieć, co oni wymyślą, a jeśli nawet człowiek o czymś się dowiedział, to najczęściej było już za późno. Nigdy nie można im niczego udowodnić. Wilsonowie są jak tajna organizacja, która terroryzuje swe ofiary pod osłoną nocy. Prawdopodobnie postanowili zająć się Foggami. Mark i Jon zatrują dzieciakowi życie w szkole, a do czego są zdolni bliźniacy - nie wiadomo. Ten domek letniskowy, który spłonął w zeszłym roku, to ich sprawka. Trzeba postępować rozważnie tak, aby wilk był syty i owca cała.

- Proszę to pozostawić mnie. - Dyrektor wypuścił kłęb dymu. - Dopilnuję, by nic nie stało się pańskiemu synowi.

- Znakomicie - uśmiechnął się Peter. - W takim razie nie będę już panu zabierał czasu. Do widzenia, panie Hughes.

Peter zauważył, że Hughes boi się Wilsonów. „Lęka się wszystkiego, nawet własnego cienia. Nadęty, wielki tchórz.”

Jechał wolno do Hodre. Nie spieszył się, bo wiedział, że w domu będzie musiał dokładnie opowiedzieć o wszystkim Janie. Owszem, powie jej wszystko. Ale obietnica Hughesa jej nie wystarczy. Zresztą jego też nie zadowolili słowa dyrektora. Malcolm Hughes nie wie, co powinien zrobić. Liczy na to, że Wilsonowie nie zbiją Gavina i wszystko będzie w porządku.

Peter dojechał w końcu do Hodre. Zdziwiło go, że mini Janie nie stoi przed domem, chociaż równocześnie przyjął to z ulgą. Przynajmniej uniknie na jakiś czas jej nieustannego wmawiania mu, że coś się dzieje. Do pewnego stopnia już w to uwierzył, a przecież przynajmniej on nie może poddać się podobnym myślom, bo inaczej nie wytrzymają tutaj przez rok. Wszystko sprowadza się do różnicy między życiem na wsi i w mieście. Janie w końcu przyzwyczai się do tego miejsca. Przez pewien czas będzie trzeba okazać trochę cierpliwości.



Zamierzał dokończył dzisiaj ten rozdział, ale niespodziewanie stwierdził, że nie jest w odpowiednim nastroju. Musi się odprężyć i przestać myśleć o Hughesie i Wilsonach. Może powinien pójść na spacer? Przypomniał sobie o kocie. Specjalnie się o niego nie martwił, bo był to zwykły kociak, który skądś się przybłąkał. Peter nie lubił kotów, ale Snowy mogłaby wylapać myszy w domu, a to miało duże znaczenie, jeśli chodzi o Janie. Poza tym Gavin bardzo lubił tego kota. Peter pomyślał, że mógłby teraz poszukać Snowy. Im szybciej Snowy będzie z nimi, tym lepiej. Zresztą przy okazji przejdzie się i zaczerpnie świeżego powietrza. Wciąż czuł ohydny zapach fajki dyrektora.

Kotka mogła być nawet trzy lub cztery mile stąd, jeśli spotkała interesującego kocura. Może znalazła gniazdo myszy w jakimś żywopłocie.

Peter wszedł na chwilę do domu, żeby się przebrać. Potem wyszedł i zastanawiał się, od czego zacząć. Nie miał ochoty iść znowu do lasu. To miejsce nie wyglądało zbyt zachęcająco, zwłaszcza w taki pochmurny dzień.

Rano obudził się z lekkim bólem głowy. Teraz ból dokuczał mu bardziej, być może z powodu przerwane snu, poza tym wciąż denerwowało go wspomnienie tej głupiej rozmowy w „Kocie”. Spotkanie z Hughesem też wyprowadziło go z równowagi.

Jęknął. Jeśli ten nastrój mu nie przejdzie, to nic dziś nie napisze. Coś go trapiło, chociaż nie chciał o tym myśleć. A do tego te strachy Janie i Gavina.

Czy coś jeszcze? O Boże! Z przerażeniem zauważył, że wpatruje się w chmurę płynącą nisko po niebie. Chmura zdawała się rosnąć. Przyłapał się na tym, że czeka, aż coś się z niej nagle wyłoni.

„Weź się w garść, Peterze Fogg, bo staniesz się tak nerwowy jak wszyscy dookoła.”

Inna sprawa, że dzień nie był przyjemny. Cicha, martwa szarość. Nawet sroka nie zaskrzeczy w pobliżu. Owce, które pasły się pod lasem, także zniknęły, być może dołączyły do dużego stada Ruskina. A może jednak są gdzieś ukryte we mgle.

Poczuł się nieswojo.

„Do diabła! Przecież się nie boję. Owszem, boisz się. Po prostu nie chcesz się do tego przyznać.”

„Gdzie do jasnej cholery poszedł ten przeklęty kot? Czy mam jakiegokolwiek szanse znalezienia go w tej gęstej mgle?” Nie miał ich zbyt wiele, ale zdecydował się spróbować. Chciał udowodnić, że jest odważny, ale tak naprawdę nawet siebie nie zdołał o tym przekonać.

Cóż, do lasu nie pójdzie. Nie miało to zresztą sensu, bo jeśli Snowy tam poszła, i tak by jej nie znalazł. Najlepiej zrobi, jeżeli pójdzie wzdłuż granicy Hodre, zaznaczonej głogowym żywopłotem. W ten sposób zatoczy koło i dojdzie do domku, a po drodze zajrzy do kamiennego kręgu.

Peter wzdrygnął się. To ta wilgoć. Ruszył w lewo i odnalazł żywopłot. Nagle zaniepokoił się: Janie nie mówiła, że się gdzieś wybiera.

Dokąd, do diabła, mogła pojechać? Po tych lisich wrzaskach w nocy porządnie się pokłócili. Peter wiedział, że jeśli Janie raz zacznie się dąsać, upłynie sporo czasu, zanim znów będą ze sobą normalnie rozmawiać. Do diabła, nie mógł przecież przejmować się wszystkimi jej humorami. Niech robi, co chce, jej sprawa. Wśród szarej mgły ukazały się gigantyczne pnie sosen. Byłyby wysokie na pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt stóp, ale wiatry pochyliły je, zmieniając w niesamowite, bezkształtne twory.

Coś ześlizgnęło się z najwyższych gałęzi pobliskiego drzewa. Kruk zatrzepotał potężnymi skrzydłami, by wzbić się w powietrze. Chwilę potem zniknął w szarej mgle. Kruk... „Póki w The Tower of London będą kruki, Anglia nigdy nie przejdzie pod obce panowanie.” Peter uśmiechnął się, usiłując przypomnieć sobie, gdzie przeczytał czy usłyszał to powiedzenie. Głupie powiedzenie, bo cóż znaczą kruki, nawet jeśli są ogromne? Może mają jakąś magiczną siłę? Wzdrygnął się znowu i zaczął zapinać płaszcz. Przyjście tu nie było najlepszym pomysłem. Niezdrowa wilgoć tylko powiększyła ból głowy. Lepiej było zostać w domu, rozpalić ogień w kominku i skończyć wreszcie pierwszy rozdział. Zakończenie musi być arcydziełem. Powinno zachęcać czytelnika do przeczytania następnej strony. Jeśli autor nie sprostą temu zadaniu, czytający odłoży książkę i być może już nigdy więcej nie weźmie jej do ręki. W ten sposób kilku niezłych pisarzy odeszło w zapomnienie.

Więc to jest kamienny krąg. Jakoś dotarł do tego ukrytego we mgle miejsca. Znajdował się tylko trzysta jardów od domku, ale strome podejście sprawiło, że odległość wydawała się dużo większa.

Krąg znajdował się jakby na ziemi niczyjej. Tutaj kończył się żywopłot, ponieważ skalisty grunt był zbyt jałowy, by mógł na nim rosnąć głóg. Być może celowo nie zasadzono w tym miejscu niczego, aby zostawić turystom otwarty widok. Peter uważał jednak, że nikt przy zdrowych zmysłach nie wspinałby się, żeby to zobaczyć. Nie było tu niczego prócz kilku sosen, posadzonych zapewne dużo później, już po odejściu druidów, jeżeli kiedykolwiek tutaj byli. Znajdowało się tu także dziewięć kamieni. Być może było ich kiedyś więcej, a miejscowi farmerzy zabrali je stąd. Nierówny, goły kawałek ziemi w kształcie nieregularnego koła. Splecione gałęzie posadzonych zbyt blisko siebie drzew nie dopuszczały słońca. Nawet Peter, chociaż był pisarzem, nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, aby dokładnie opisać to niesamowite miejsce.

Nagły szum skrzydeł i gardłowe krakanie przestraszyło go. Odruchowo zasłonił się rękami. Przez chwilę był tak przerażony, że poczuł się jak dziki człowiek, lękający się ataku skrzydlatego potwora. To znowu ten przeklęty kruk! Bezczelny, uparty ptak w ogóle nie bał się człowieka. Ale dlaczego wrócił do kręgu, skoro na polach mógł znaleźć padlinę? Teraz krążył poza zasięgiem wzroku, gdzieś we mgle, kracząc

ze złością. Traktował Petera jak intruza i nakazywał odejść.

Peter zawrócił kierując się głosem rozzłoszczonego ptaka. I wtedy nagle zobaczył, dlaczego ptak wracał do kamiennego kręgu. Bo że wszec hm o g ą c y !

To była Snowy. W każdym razie biały kot, gdyż nie można było dokładnie rozpoznać. Peter cofnął się. Instynkt podpowiadał ucieczkę. Biec, bieć jak najdalej od tego okropnego miejsca. Ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Poczul, że żołądek podchodzi mu do gardła. Stał i patrzył, nie wierząc własnym oczom. To nieprawda. To tylko jego własna, zbyt wybujała wyobraźnia. Zachowuje się jak Janie, która poddaje się wyimaginowanym lękom i strachom. Nikt nie potrafiłby tak znęcać się nad niewinnym kotem.

A jednak ktoś to zrobił. Nie potrzeba na to lepszego dowodu. Wystarczyły zwisające z gałęzi zakrwawione zwłoki kotki, obracające się nad jego głową. Z rozciętego brzucha kapą krew. Zwierzę zdawało się patrzeć na Petera martwymi oczami. Otwarty pyszczek zdawał się mówić: „O n i mi to zrobili.”

Brzuch kotki był rozcięty aż do gardła. Skrwawiona rana miała kształt litery T. Lina była tak mocno zaciśnięta wokół szyi, że głowa wzdęła się okropnie i stała się nieprawdopodobnie wielka w stosunku do maleńkiego ciała. Biedny kotek wyglądał tak strasznie, że wzbudzał i litość, i wstręt jednocześnie.

Peter zawrócił, oglądając się za siebie, a mgła zdawała się iść za nim. Przez chwilę czuł się jak w innym świecie, w którym ludzie wciąż dopuszczali się okrucieństwa. Czyhali na niego we mgle. Zdał sobie sprawę, że drży. „Nie bądź głupcem. Weź się w garść!”

Zmusił się do logicznego myślenia. Oczywiście Wilsonowie! Tcho-rze! Chcieli odegrać się na Gavinie, męcząc biedne zwierzę. Peter nigdy nie lubił kotów, ale tym razem czuł, że za chwilę się rozplacze. O Boże! To okropne. Ten przeraźliwy krzyk, który w nocy słyszała Janie, był ostatnim przedśmiertnym wołaniem Snowy. Widocznie kotka jeszcze żyła, kiedy nóż zagłębił się w jej ciało.

Cóż, przynajmniej teraz wie, co dzieje się tu podczas księżycowych nocy. W przeciwnym razie Janie uwierzyłaby, że to duchy druidów składają krwawe ofiary. Będzie musiał opowiedzieć jej o tym wszystkim. Może zdąży pogrzebać kota, zanim Gavin wróci ze szkoły. Muszą razem wymyślić jakieś wiarygodne wytłumaczenie, dlaczego kotka zniknęła. Trzeba będzie kupić chłopcu kociątko albo inne zwierzątko. Nie, Peter nie puści tego płazem. Ci hultaje odpowiedzą za to, co zrobili.

Kiedy wrócił do domu, drżał jeszcze, tym razem z gniewu, nie ze strachu. Chciał zadzwonić do Królewskiego Towarzystwa Ochrony Zwierząt, jednak po namyśle wybrał policję. Musi pokazać miejscowemu policjantowi ten przerażający obrazek. Szykanowanie Anglików

musi się wreszcie skończyć. Trzeba nauczyć wandalii przestrzegania prawa, dostosowania się do reguł obowiązujących w cywilizowanym społeczeństwie.

A jeśli to nie odniesie pożądanego skutku, sam rozprawi się z Wilsonami. Peter zatrzymał się w drzwiach. Ze zdziwieniem stwierdził, że wciąż ogląda się w stronę kamiennego kręgu. Górska mgła ukryła wszystko. Zadrżał. Było dokładnie tak, jak mówiła Janie: miał uczucie, że coś go obserwuje. To nonsens, wymysły chorej wyobraźni.

Wszedł do środka, podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer miejscowego posterunku policji.

## 6

Przez całą lekcję Gavin bał się przerwy. Obecność dyrektora też go nie uspokajała - Hughes co chwilę przypatrywał się chłopcu tym swoim groźnym, pełnym złego humoru wzrokiem. Mark i Jon Wilsonowie siedzieli w tyle klasy. Gavin słyszał, jak chichotali. Poczł nagły atak kolki. To wszystko wina ojca; nie powinien jechać na skargę do dyrektora. Teraz Gavia czuł się tak, jakby Wilsonowie i pan Hughes zmówili się, by mu zatruć życie.

- Dobrze, na razie wystarczy - zakończył pan Hughes. Popatrzył na Gavina, a potem wziął fajkę z biurka i oznajmił:

- Przerwa. Wszyscy wychodzą. Nie chcę, by ktokolwiek kręcił się po klasie.

Chłopcy i dziewczęta ruszyli na wyścigi do drzwi. Roześmiani i rozgadani, chcieli odpocząć po czterdziestu minutach nudnej matematyki. Wilsonowie wybiegli pierwsi, przepychając się między dziećmi.

- Ty też, chłopcze. - Wychowawca popatrzył na Gavina wyczekująco. - Słyszałeś, co powiedziałem. Jesteś bardzo błądy i świeże powietrze dobrze ci zrobi.

Chłopca bardzo zaboląły te słowa. Odebrał je zresztą po swojemu: „Nie pasujesz tutaj, ale ja dopilnuję, żebyś zrobił to, co inni, czy ci się podoba, czy nie.”



Skinął głową. Jego dolna warga drżała, ale zacisnął zęby - nie da wychowawcy tej satysfakcji, ten wstrętny typ nie zobaczy go płaczącego.

Na dworze było wilgotno i mgliście. Gavin stanął na skraju boiska. Zobaczył grupkę chłopców grających w piłkę między słupkami ogrodzenia. Młodsze dzieci bawiły się w berka, śmiały się i pokrzykiwały wesoło.

Gavin czuł niechęć do miejscowych dzieci. Wszyscy go odpychali. W Perrycroft było zupełnie inaczej. Tam wszyscy bawili się razem. Czasem wybuchały jakieś drobne kłótnie, ale były nieistotne i najczęściej zapomniano o nich, zanim zadzwonił dzwonek na lekcję.

- Czy to nie nasz angielski lizus?

Gavin zamarł w bezruchu, rozpoznając za sobą głos jednego z Wilsonów. Nie wiedział którego, nie umiał ich rozpoznać. Zastanawiał się, czy nie pobiec z powrotem do klasy, ale zrezygnował. Pan Hughes wciąż tam był i poprawiał prace domowe. Rozgniewałby się na pewno i wysłał go na boisko. Nie było sensu uciekać, nie miał dokąd.

- Nie zapomniałeś, co powiedzieliśmy w piątek, prawda? - Zbliźali się do niego z dwóch stron. - Ostrzegaliśmy cię. Wiesz, co robimy z takimi angielskimi bękartami jak ty!?

Nagle wykręcili mu obie ręce do tyłu. Gavin krzyknął z bólu. Zobaczył bliźniacze twarze pełne złości i nienawiści.

- Nie ma tu miejsca dla Anglików - Jon Wilson splunął. - Mój tata tak mówi. Mówi, że trzeba obrzydzić wam życie, parszywe przybłędy!

- Tak - zgodził się Mark. - A my zawsze robimy to, co każe na ojciec, prawda Jon? Inaczej on zatruje życie nam. Zrobimy to, czy się nam podoba, czy nie. Ale nam się to podoba.

Odciągnęli go pod ścianę szkolnego budynku. Uderzyli jego głową w mur tak mocno, że pociemniało mu w oczach. Krzyknął.

- Wybij mu zęby, Jon. Podbij te głupie oczka!

- Poczekaj! - Jon chwycił brata za rękę. - Pamiętasz, co mówił nam tata: „Nie wolno zostawiać żadnych śladów, tak by nikt nie mógł was o nic oskarżyć.” Uderz go w brzuch. Tam nie będzie siniaków.

Gavin zwinął się w pół i byłby upadł, gdyby go nie przytrzymali. Mocne, krótkie ciosy w brzuch były tak bolesne, że z trudem łapał oddech. Nie mógł nawet krzyknąć.

Całe to zdarzenie trwało kilka sekund. Sześć uderzeń i napastnicy puścili swoją ofiarę.

Gavin osunął się na ziemię, trzymając się za brzuch. Usiłował złapać oddech. Jęczał i wiał się z bólu niczym dżdżownica uderzona grabiami. Chciał wymiotować, ale nie mógł. Nawet łzy nie popłynęły z oczu. Strach, że być może został trwale okaleczony, poraził jego umysł. Spojrzał w górę i zobaczył nad sobą szyderczo uśmiechnięte twarze prześladowców. Obraz był rozmazany, zupełnie jak odbicie w falującej wodzie.

- To za to, co twój ojciec zrobił Daiemu. - Jon Wilson splunął. - Jak myślisz, co stanie się twojemu tatusiowi i może również mamusi, jeśli nie wyniosą się z Hodre? Powiedz im to i nie zapomnij, że nie ci nie zrobiliśmy. Pojmujesz?

Gavin skinął głową, nie chciał im potakiwać, ale głowa sama mu jakoś opadła. Zemdlał. Kiedy się ocknął, Wilsonowie dołączyli już do grupy dzieci bawiących się piłką. Żadne z nich nie zwracało na niego uwagi.

Gavin podniósł się na kolana i otrzepał z kurzu ubranie. Mógł już płakać, lecz ze wszystkich sił starał się powstrzymać łzy. Wyprostował się, ale znowu zwinął w pół, trzymając za brzuch. Czuł się tak, jakby przejechał po nim samochód. W głowie mu wirowało, więc oparł się o ścianę.

Chciał pójść do klasy i opowiedzieć o tym wydarzeniu panu Hughe-sowi, ale zrezygnował. Dyrektor niczego by nie zrobił. Wyszmarzył go: „To tylko mała bójka, nawet nie masz siniaków!”

Gavin wiedział, że jego matka była przerażona. Bała się Hodre i czegoś jeszcze, czego żadne z nich nie rozumiało. Pochylił się. Zamknął oczy. Ból ustępował, ale strach nie mijał.

Kiedy tylko Peter odłożył słuchawkę, usłyszał, że Janie parkuje swój samochód przed domem. Westchnął. Miał nadzieję, że żona nie wróci wcześniej niż za godzinę albo dwie i w ten sposób da mu czas na rozmowę z komisarzem, zanim trzeba będzie powiedzieć jej o kocie.

Komisarz Calvert był już w drodze, a to oznaczało, że Janie musi się o wszystkim dowiedzieć teraz.

- Cześć! - Janie otworzyła drzwi kopnięciem i weszła do kuchni, trzymając w ręku duży karton z otworami w bocznych ściankach.

- Co to jest? - zapytał zaintrygowany.

- Sam zobacz - uśmiechnęła się i postawiła pudło na stole.

Pochylił się i zajrzał zdziwiony.

- Królik!

- Tak. - Wyjęła małe szarobiałe stworzonko. Malutki króliczek patrzył na nich wystraszonymi oczami. - Zobaczyłam tablicę z ofertą sprzedaży królików przed jednym z domków na wsi. Pomyślałam, że może zrobiłbyś klatkę z tych deseczek, których pełno w szopie. Kotki nie ma już prawie trzy dni i miałam nadzieję, że taki zwierzaczek ucieszy Gavina. Wiesz, jak on bardzo martwi się o Snowy. Obawiam się, mam przeczucie, że coś stało się z kotką.

- Tak - powiedział wolno, usiłując uniknąć jej pytającego wzroku. - Niestety, coś się stało.

- Co! Gdzie ona jest? - Janie przycisnęła królika do piersi, jakby nieznany zły los miał dosięgnąć i to zwierzę.

- Ten krzyk, który słyszałaś zeszłej nocy...

- To nie był lis. - Chyba nie zamierzał znowu jej przekonywać. - Wiem, że nie.

- Nie, nie był. - Peter spuścił oczy. - To... to była Snowy.

- O Boże! Co się stało?  
- Wilsonowie. - Wolał najpierw wymienić winnych, później przyjdzie czas na szczegóły. - To oni zabili Snowy.

- Nie! Jak?

Cóż, musi jej powiedzieć. Janie będzie tutaj, kiedy przybędzie policjant, a Peter chciał zapoznać go ze wszystkimi okropnymi szczegółami.

- Powiesili kota na drzewie i rozcięli mu brzuch.

- To podłość! - Zbladła. - Gdzie to zrobili?

O Boże, tego właśnie pytania pragnął uniknąć.

- Na jednej z jodeł w kamiennym kręgu.

Zachwiała się. Peter przytrzymał ją za ramię, pewien, że zemdleje. Wziął od niej królika i włożył z powrotem do pudełka.

- Skąd... skąd wiesz, że to Wilsonowie? - Janie przytuliła się do niego. Płakała. Płakała nie tylko z powodu kota. Owładnął ją potężny, nieznany dotąd strach.

- To jedna z ich prób wypędzenia Anglików z Walii. Być może chcieli też w ten sposób zemścić się za sobotnią lekcję.

- Nie - jej głos drżał. - To nie oni. Wiem, że oni tego nie zrobili. To ten kamienny krąg. Tam wciąż c o ś żyje!

- Nie bądź śmieszna. - Do diabła, jego głos nie brzmiał dość przekonująco. - Niczego tam nie ma, tylko kilka dużych kamieni i drzew. To Wilsonowie zabili kota.

- Niech ci będzie - westchnęła. - Ty jesteś przekonany o swojej racji, a ja o swojej. Obawiam się jednak, że nie wytrzymam tu dłużej. Gavin także. Jeśli ty nie chcesz wyjeżdżać, wyjedziemy stąd we dwoje z Gavinem.

- Ja muszę zostać. Zostanę, dopóki nie napiszę książki, a do tej pory miałem niezbyt dobre warunki do pracy. - W jego głosie słychać było gniew. - Wydaje mi się, że chcesz przeszkodzić mi w pisaniu. Rzuć wszystko i jedź, zrób kłatkę królikowi. W lesie mieszka lichy, a druidzi wrócili, aby znów panować w kamiennym kręgu. Na domiar złego ta przekłeta rodzina wieśniaków, którzy uparli się, że wypędzą stąd Anglików. Mam dość tego wszystkiego. Jedźcie, jeśli chcecie. Ja zostaję i żadne zjawy mnie stąd nie wygonią.

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale umilkła, gdyż przed domem zatrzymał się jakiś samochód.

- To chyba policjant - powiedział Peter. - Teraz pozbędziemy się twoich strachów, a ja będę mógł spokojnie zająć się książką.

Komisarzowi Calvertowi brakowało do emerytury roku, może dwóch lat. Całe życie przepracował w Woodside, choć mógłby pewnie otrzymać lepsze stanowisko w jakimś dużym mieście. Nie miał na to ochoty, a poza tym jego żona, bardzo przywiązana do swojej rodzinnej wioski, nie chciała stąd wyjeżdżać. On sam pochodził z Cardiff, ale ponieważ był Walijszczykiem i ponieważ ożenił się z Ellą, wieśniacy w

Woodside zapomnieli, że komisarz był przybyszem. George Calvert dobrze znał wieśniaków ich „małe grzeszki”. Widział, że stali bywalcy „Kota” zostawali w barze po zamknięciu i pili dalej. Ale byli to ludzie na swój sposób przestrzegający prawa, poczciwi, chód podejrzliwi i przesądni. Więc zaakceptował ich sposób życia, a oni uznali go za swego.

Calvert położył swój spłaszczony kapelusz na stole. Janie zaproponowała mu filiżankę herbaty. Podziękował z wdzięcznością. Miał nadzieję, że nie zauważyli, jak drży mu ręka, kiedy podnosił filiżankę. Wysoki i szczupły, wyglądał niezgrabnie na małym krzeselku. Wiele już razy widział śmierć, a teraz niespodziewanie dla samego siebie był wstrząśnięty widokiem nieżywego kota. Nie mógł zrozumieć bezsensownego okrucieństwa.

- To ci Wilsonowie - upierał się Peter. - Chcieli się na mnie zemścić.

- Nie możemy oskarżać nikogo, nie mając dowodów. A dowodu na razie nie mamy. Wiejski policjant zawsze musi zachowywać się dyplomatycznie. - Nie chciał powiedzieć, że jego zdaniem wyglądało to na jakieś rytualne zabicie ofiary. Były pojedyncze raporty z kraju, że jacyś mistrzowie czarnej magii odprawiali krwawe ceremonie na starych cmentarzach i tym podobnych miejscach, ale chyba nie przybyli do Hodre. Będzie musiał bardzo ostrożnie sformułować swój raport, jeśli nie chce ściągnąć na siebie burzy.

- Niech pan posłucha, panie Fogg. Wybadam sprawę bardzo dyskretnie. Proszę dać mi trochę czasu. Być może czegoś się dowiem. Wygląda to jak robota jakichś wandalii.

- Niech mi pan opowie o Wilsonach. - Peter uparcie wpatrywał się w policjanta. - Ci młodszy straszili mojego syna w szkole.

- To łobuziaki - przyznał niechętnie komisarz. - Stary Wilson nie oszczędza pasa. Inaczej nie dałby sobie rady: dwa razy z rzędu bliźniaki. - Calvert zaśmiał się. - Wpoił chłopcom swoisty patriotyzm, niemal nacjonalizm. Teraz wierzą, że każdy, kto nie jest Walijszczykiem, to wróg. Nigdy nikogo nie niepokoił. Dopiero od czasu, gdy paru Anglików osiedliło się w Woodside, zaczęły się z nimi problemy. Między nami mówiąc - komisarz uśmiechnął się i popukał w czoło - oni nie są zbyt rozgarnięci. Rozumie pan, co mam na myśli. Nie twierdzę, że oni zabili pańskiego kota ani że go nie zabili. W każdym razie mogli to zrobić. Dowiemy się albo i nie. Dam im przyjacielskie ostrzeżenie. Powiem, że moim zdaniem to mogli być oni i że nabawią się kłopotów, jeśli coś jeszcze się wydarzy. Gdyby przyjechali tu na motocyklach, proszę zadzwonić. Zjawię się natychmiast.

Komisarz Calvert skończył pić herbatę, podniósł kapelusz i wstał.

- Cóż, miło mi było spotkać się z wami, ale muszę się zbierać.



- Niech mi pan powie jedną rzecz - poprosił Peter. - Oczywiście, zostanie to między nami. Jak Peters i Bostock zarabiają na życie?

- Dlaczego, u licha, pyta pan o to? - Brwi policjanta uniosły się. - Czy miał pan z nimi jakieś kłopoty?

- Nie. - Peter uśmiechnął się. - Jeżeli nie liczyć faktu, że kiedy wpadliśmy do „Kota” na drinka, opowiedzieli nam trochę plotek i okropne legendy związane z Hodre. Interesuje mnie przede wszystkim to, dlaczego pracują zwłaszcza w księżycowe noce.

- Są kłusownikami - powiedział Calvert poważnie. - Zajmują się tym od dawna. Obaj już swoje odsiedzieli. Wyszli jakieś trzy lata temu. Po dwanaście miesięcy za złośliwe zranienie leśniczego. Głupcy, mogli go zabić. Na szczęście nie ma tu zbyt dużo zwierzyny. Poza tym ich interesują głównie króliki i zające. Większość farmerów przymyka na to oko. W ten sposób Peters i Bostock robią im przysługę, zmniejszając liczbę królików. Jeśli natrafią na bażanta albo drób, też nim nie pogardzą. W razie gdyby się tu kręcili w nocy i usłyszał ich pan, proszę im nie przeszkadzać. A jeśli będą jakieś kłopoty, to proszę pamiętać, że oni nie mają nic wspólnego z Wilsonami.

Janie poczuła, że robi się jej zimno. Noc miała tysiące oczu. Ilu innych przestępców włóczy się wokół Hodre po zmroku?

- Proszę pamiętać, jakiegokolwiek problemy i natychmiast się zjawię.

- On przynajmniej jest szczerzy - mruknął Peter, patrząc na niebieskobiłą pandę wracającą w kierunku Woodside. - Naprawdę miły facet. Nie sądziłem, że uda mi się tu takiego spotkać.

- Co z panem Hughesem?

- Nie ufałbym mu. Jest tchórzem. To oczywiste, że boi się Wilsonów. Dziś rano byłem przekonany, że mnie też się bał - zaśmiał się.

- Nie podoba mi się, że Peters i Bostock włóczą się tutaj. - Janie zacisnęła pięści. - Peter, jak możemy czuć się bezpieczni, jeśli kłusownicy grasują po nocach wokół domu? Byli już karani za użycie przemocy.

- Wątpię, aby chcieli nas skrzywdzić - uśmiechnął się. - Interesują ich wyłącznie zające i króliki. Jeśli o mnie chodzi, damę im wolną rękę.

- Żywią do nas jakąś urazę. Przypomnij sobie, co opowiadali w barze.

- Jesteśmy Anglikami. Wielu tutejszych ludzi podobnie nas traktuje.

- Może to oni zabili Snowy?

- Bardzo wątpię. To prości ludzie. Są zadowoleni ze swego zajęcia, ale mają wstręt do okrucieństwa. Moim zdaniem winni są Wilsonowie, ale jak powiedział Calvert, nie sądzę, by udało się to udowodnić. Cóż, dziś chyba niewiele napiszę. Lepiej pójdę odciąć kota i zakopię go. Nie chcę, żeby Gavin zobaczył go przypadkiem, kiedy będzie się bawił na łące. Zrobię to teraz.

- A klatka dla królika...?

- Dobrze, już dobrze. Nie wszystko naraz. Najpierw muszę zająć się kotem.

Włożył płaszcz i wyszedł tylnymi drzwiami. Miał wrażenie, że wchodzi w mokrą watę. Ciężka, szara mgła kryła w sobie wszystko. Peter zadrżał. Boże, jak tu zimno. Wilgoć przesywała na wylot bez względu na to, co się włożyło na siebie.

Nie był zadowolony z perspektywy ponownego pójścia na górę. Chodziło mu nie tylko o to, że znowu musi zobaczyć okropnie pokaleczonego kota. Wiedział, że trzeba zdjąć zwłoki z drzewa. Jego strach miał źródło w przeczuciu, że ta okropna śmierć zwierzęcia była ostrzeżeniem: „Wynoś się, albo tobie przytrafi się to samo.”

Peter zwilżył usta językiem. W głowie mu huczało. Mocniej chwycił łopatę. Była nie tylko narzędziem, lecz także bronią. Stalowe ostrze może spowodować śmierć, jeśli zostanie właściwie użyte, jeśli uderzy pod odpowiednim kątem we wrażliwe miejsce. Myśli Petera krążyły beładnie wokół ostatnich wydarzeń.

Poprzez mgłę zobaczył powykrzywiane sosny. Ich zdeformowane gałęzie zdawały się grozić mu: „Wynoś się stąd.” Znowu nerwowo zacisnął ręce na trzonku łopaty. Poczul na ciele lodowate krople potu. Szybko upora się z robotą. Wykopie dołek i pogrzebie kota, a potem postara się wymazać wszystko z pamięci. Kot wisiał na gałęzi najbliższej sosny. Wisiał...

O Boże, kot zniknął! Został tylko poplamiony krwią sznur.

Pobiegł do przodu nie mogąc złapać tchu. Drżącymi rękami obmacywał ziemię pod drzewem, kawałek po kawałku. Sznur musiał się zerwać pod ciężarem. Może to sprawka kruka?

Na dole nie było ani śladu zwłok. Próbował ruszyć łopatą skamieniałą ziemię, jakby się spodziewał, że znajdzie kota. Po chwili stanął zrezygnowany. Powinien był zabrać ze sobą kilof. Łopata nie ruszy skalistego gruntu.

Gdzie u diabła podział się kot? Coś musiało go zabrać po tym, jak przyszedł tu z komisarzem Calvertem, żeby pokazać mu przerażający dowód zbrodni. Kot wisiał za wysoko, żeby jakiś lis mógł się do niego dostać. Dla kruka czy myszołowa był to zbyt duży ciężar, nawet gdyby udało im się zerwać sznur.

Peter wyprostował się. Szukanie śladów nie miało sensu. Nawet gdyby znalazł i tak nie potrafiłby ich rozpoznać we mgle. Podświadomie zaczął nasłuchiwać, ale nie usłyszał nic prócz kropli kapiących z gałęzi. Kruk odleciał. Nie miał powodu, by tu pozostać teraz, kiedy padlina zniknęła.

O, Boże! Co powie Janie? Będzie musiał skłamać i to skłamać bardzo przekonująco, że pogrzebał zwierzę. Wtedy pozostanie mu tylko modlić się, żeby zwłoki kota nie pojawiły się gdzieś w pobliżu za dzień lub dwa. Nie może przecież powiedzieć Janie prawdy.

Miał już zawrócić, kiedy jego uszy pochwyciły inny dźwięk niż delikatne kapanie kropli. Natężył słuch, usiłując rozpoznać te odgłosy. Tak. Kroki, ale na pewno nie ludzkie. To coś innego. Słyszał chrupanie, zupełnie jakby żucie... żucie zwłok martwego kota!

Przerażony cofnął się pod drzewo i uniósł łopatę, gotów do walki. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Peter poczuł siłę, jaką daje strach.

Hałas wzmógł się. Stopy szurały po twardym gruncie, przesuwając się coraz bliżej. Peterowi przemknęła przez głowę myśl o ucieczce, ale wiedział, że nogi odmówią mu posłuszeństwa. Bał się, że to coś zauważy go lub wyczuje, a potem zrobi z nim to samo, co z kotem.

Wpatrywał się w mgłę aż do bólu. Widział już nieistniejące kształty. Mgła bawiła się z jego wyobraźnią. Czuł, że jego serce wali jak młot.

Wtedy zobaczył to. Usiłował wmówić sobie, że to baran, który zgubił się w lesie, ale to było zbyt duże. Poza tym miało ogromne rogi. Kiedy poczuło Petera, stanęło w miejscu.

Wtedy właśnie chciał krzyknąć, aby przestraszyć potwora, ale z gardła wydobył tylko szept. Peter odwrócił się. Poczul, że nie może udźwignąć łopaty. Potwór rozbroił go. W tym momencie Peter przypomniał sobie, jak wyglądały zwłoki kota.

Peter był tak przerażony, że długo nie był w stanie przytomnie patrzeć na rzeczywistość. Zwierzę, którego kształty coraz wyraźniej majaczyły we mgle, wydawało mu się okrutną bestią należącą do nieznanego gatunku. Patrzyło na Petera strasznymi oczami, a potem nagle zawróciło i, jakby spłoszone, rzuciło się do ucieczki. Jeszcze długo mężczyzna słyszał tętent jego kopyt, zwielokrotniony przez echo.

- Boże... jeleni - powiedział wolno, wspierając się na trzonku łopaty. Oblał go zimny pot. Miał uczucie, że spada w głęboką przepaść. Zemdliło go. O Boże! Jak to dobrze, że nikt nie widział go w takim stanie. A może o ni widzieli?!

Rozejrzał się dookoła. Nawet teraz czuł, że ktoś czai się w gęstej mgle. Wiedział, że to bez sensu, bo jeśli on nic nie może zobaczyć, to ten ktoś inny też nie. Jakie to proste i logiczne. Dał się ponieść nerwom. Poddawał się idiotycznym, dziecięcym strachom. Zaśmiał się. Był to wymuszony śmiech, ale Peter zaraz poczuł się lepiej. Przestraszył się jelenia, najbardziej nieufnego i płochliwego zwierzęcia, tylko dlatego, że natknął się na niego tak niespodziewanie. Tak. Ale to nie tłumaczyło zniknięcia kota. Wziął łopatę na ramię i zaczął schodzić w dół. Zaskoczyło go, że tak szybko zobaczył domek i szopę. Kamienny krąg był bliżej niż przypuszczał.

Zaniepokoił się, kiedy zobaczył Janie stojącą w drzwiach. Musiała na niego czekać albo usłyszała, że nadchodzi.

- Co się stało? - zapytała przestraszona.

- Nic. - Chwycił odłamek dachówki i zaczął skrobać łopatę. Część rdzy opadła. Może Janie uwierzy, że czyści zabrudzoną łopatę. - Nic się nie stało. Wszystko w porządku.

- Nieprawda. Nie kłam. Nie próbuj mnie nabierać. Wiem, że coś się stało. Jesteś śmiertelnie przerażony. Widzę to po twojej twarzy.

- Masz rację. Wystraszyłem się trochę. - Znów oparł się o łopatę. Powinien był wiedzieć, że nie uda mu się oszukać Janie. - Tam są jeleń, kochanie. Duże stado, sądząc po odgłosie kopyt. Podeszły do mnie we mgle i nie mogłem ich rozpoznać. Dlatego tak się zdenerwowałem. Jak byś się czuła, gdybyś zobaczyła przed sobą jakieś duże zwierzę i nie wiedziałabyś, co to jest? Przypomnij sobie tego barana w sobotę.

- Kota nie zakopałeś, prawda?

O Boże, znowu ta kobieca intuicja.

- Nie. - Zrezygnował z dalszych kłamstw. - Nie zakopałem.

- Dlaczego?

- Bo... bo kot zniknął!

- Zniknął?! Co przez to rozumiesz?

- Po prostu nie ma go. Coś musiało go stamtąd zabrać. Może to lis.

- Przecież powiedziałaś, że Snowy wisiała wysoko na drzewie. Jak  
lis mógł ściągnąć ją na dół? To musiało być coś innego. Wilsonowie  
albo kłusownicy... albo c o ś i n n e g o .

- Za dużo sobie wyobrażasz. - Zostawił łopatę i wszedł do domu. -  
To po prostu zbieg okoliczności, a my wymyśliłyśmy sobie nie wiadomo  
co.

- Coś tu wisi w powietrzu. - Janie weszła za nim do hallu. - Nie  
wiem, co to, ale czuję, że t o trzyma nas w swoich rękach.

- Nie wracajmy już do tego. Przecież wszystko można zupełnie lo-  
gicznie wytłumaczyć. Nie ma w tym nic dziwnego. Zaczęło się od tych  
wieśniaków, którzy nie cierpią Anglików. To, że zabroniłem im jeździć  
po tych polach, też nie poprawiło sytuacji. Pójdę zrobić klatkę dla kró-  
lika.

„Nic już dziś nie napiszę. To więcej niż pewne”.

Nie lubił majsterkować. Ale teraz jakaś prosta praca mogła okazać  
się znakomitym środkiem uspokajającym. Znalazł młotek i gwoździe, a  
potem poszedł do szopy.

Z robotą uporał się w niecałe dziesięć minut. Znalazł starą klatkę na  
kurczaki. Trzeba było tylko wbić kilka brakujących gwoździ i wymienić  
zawiasy. Mógł teraz zasiąść do pisania, ale wiedział, że dzisiaj i tak nic  
z tego nie wyjdzie. Zapomniał już o spotkaniu z jeleniem, ale tajemni-  
cze zniknięcie kota nie dawało mu spokoju. To Wilsonowie. Próbował  
w to uwierzyć, ale przychodziło mu to z ogromnym trudem.



Wrócił do pracowni i zaczął porządkować książki. Musiał znaleźć sobie jakieś zajęcie do czasu, gdy pojedzie odebrać Gavina ze szkoły. Miał nadzieję, że chłopcu nic się nie stało. Może jak dostanie królika, przestanie pytać o kota. Ani on, ani Janie nie byli w stanie dłużej kłamać, ale jeśli będzie to konieczne, będą musieli udawać, że nic się nie stało.

Peter siedział w samochodzie i obserwował dzieci wychodzące ze szkoły. Zobaczył Wilsonów i odruchowo zacisnął pięści. Przekłęte bękart. Miał ochotę stłuc ich na kwaśne jabłko, a potem słuchać, jak błagają o przebaczenie. Ten, którego zrzucił z motocykla, miał dużo szczęścia, że nie złamał ręki albo nogi.

Gdzie jest Gavin? Patrzył na dzieci niemal z przestrawieniem. Były w różnym wieku. Najmłodsze mogły mieć pięć lat, najstarsze jedenaście. Zauważył, że wszystkie trzymały się z daleka od bliźniaków. Patrzyły na nich z obawą, przezornie zostając w tyle.

Pisarz odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie zobaczył w bramie Gavina. Towarzyszył mu pan Hughes. Jego twarz zdawała się mówić: „Czy jest pan zadowolony, panie Fogg? Dbam o pańskiego wątłego syna. Nikt go nie dotknie ani nie zrani”

Peter opuścił szybę w okienku saaba.

- Dzień dobry, panie Hughes. Widzę, że wszystko w porządku.

- Jak najbardziej. - Dyrektor uniósł do góry swe krzaczaste brwi. - Żadnych kłopotów. Od początku byłem przekonany, że nic się nie stanie.

Peter pochwylił spojrzenie Gavina, chłopiec był zażenowany i czymś podenerwowany. Czy sprawiła to obecność pana Hughesa, a może coś innego? Czy przeszkadzało mu, że inne dzieci widziały całą sytuację?

- Dobrze. Dziękujemy za pomoc, panie Hughes. Wierzę, że nie będzie już więcej kłopotów i nie będę musiał pana znów niepokoić.

- Jestem pewien, że nie będzie takiej potrzeby. - Na twarzy dyrektora pojawił się głupawy uśmiech, który zdawał się mówić: „Nie byłem zadowolony z pańskiej wizyty, ale widzi pan, że należycie wypełniam swoje obowiązki”.

- No i jak? - zapytał Peter, kiedy wyjechali już z wioski.

- W porządku - odpowiedział Gavin bezbarwnym głosem.

Peter nie wiedział, czy chłopiec zaraz wybuchnie płaczem, czy nadal będzie spokojny.

- Wilsonowie nie dokuczali ci?

- Nie - skłamał z trudem Gavin.

- To bardzo dobrze.

Popatrzył bardzo uważnie na chłopca, szukając śladów pobicia, ale ich nie znalazł. Miał nadzieję, że pan Hughes niczego przed nim nie ukrył. Zresztą był przygotowany na wszystko. Gotów był napisać skargę

do władz oświatowych. Nikt nie będzie się znącał nad synem Fogga.

- Czy Snowy wróciła?

- Obawiam się, że nie. Prawdopodobnie gdzieś sobie poszła. Masz nowe zwierzątko - królika. Jest milutki.

Spodziewał się, że Gavin zaraz powie: „Nie chcę królika, chcę Snowy”. Jednak Gavin milczał. Odwrócił się i spoglądał na szary krajobraz. Ściemniało się.

„Przekłeta mgła - pomyślał Peter. - Czy ona nigdy nie opadnie? Ta wilgotna atmosfera osacza człowieka ze wszystkich stron. W nieprzeniknionej szarości czyha niewidzialna, piekielna moc, a złowróżbne pohukiwanie sowy zdaje się zwiastować coś strasznego”.

- Myślę, że Gavinowi coś dolega. - Janie weszła do pracowni. Peter pisał, ale postanowiła nie czekać, aż przerwie. - Mówił, że boli go brzuch, a on kiedy się na coś skarży, nigdy nie kłamie. Wydaje mi się, że będzie lepiej, jeśli jutro nie pójdzie do szkoły.

- Cóż, zobaczymy, jak będzie czuł się rano. Przypuszczam, że to sprawka Wilsonów, ale Gavin boi się powiedzieć. Nie ufam temu głupiemu Hughesowi.

- Gavin twierdzi, że Wilsonowie go nie zaczepiali, ale wiem, że coś ukrywa. Dobrze, że kupiłam mu tego królika, inaczej zamartwiałyby się o Snowy. Nigdy nie może dowiedzieć się prawdy. Dostyc mam wszystkiego na dzisiaj. Idę spać.

- Przyjdę na górę trochę później. - Znow odwrócił się do maszyny.  
- Muszę uporać się z tym rozdziałem, bo inaczej nigdy nie skończę tej książki.

Janie wyszła do hallu. Cichutko zamknęła za sobą drzwi. Peter pracował całymi dniami, a teraz zaczyna przesiadywać do późna. Chyba nie zdaje sobie sprawy, że w ich domu zaczyna się dziać coś niesamowitego, coś, czego nie potrafiła wyjaśnić.

Kiedy w końcu przyszedł na górę, Janie jeszcze nie spała. Leżała z zamkniętymi oczami. Słuchała, jak Peter rozbiera się i kładzie obok niej. Otworzyła oczy dopiero wtedy, kiedy po oddechu poznała, że zasnął. Nie chciała już wdawać się z nim w żadne dyskusje. Nie miała siły na bezowocne rozmowy. Może gdyby zabrała Gavina i wyjechała do rodziców, jej mąż zrozumiałby wreszcie, co się wokół niego dzieje.

Nie mogła zasnąć.

Niepokój powracał, ale mimo to zdołała na chwilę się zdrzemnąć. Pomyślała jeszcze, że może byłoby lepiej trzymać królika w domu. W ten sposób zwierzątku nie groziłby los Snowy.

Zadzwonił telefon.

Nie miała zwyczaju odbierania telefonów, bo te w większości były do Petera.

Ocknęła się. Otworzyła oczy i zobaczyła wewnątrz pokoju oświetlone przez księżyc. Jutro musi koniecznie zawiesić zasłony. Oddzielić się od nocy i strachów czających się w mroku.

Nagle zdała sobie sprawę, że naprawdę dzwoni telefon. Nie śniło się jej. Nie był to telewizor ani radio. O Boże! To nie terkocze telefon u sąsiadów, lecz ich własny, na dole!

Usiadła na łóżku. Poczowała, że drży na całym ciele. Peter wciąż spał. Leżał na wznak i lekko pochrapywał. Nie usłyszy brzęczenia, jeśli ona go nie zbudzi. Często nawet budzik nie mógł wyrwać go ze snu.

Już wyciągnęła rękę, by trącić męża, ale zaraz ją cofnęła. Nikt nie mógł dzwonić do Petera o tak późnej porze. Jego rodzice nie żyli. Krewnych też nie miał. O Boże! Może jej rodzice też nie żyją i ktoś dzwoni, żeby ją o tym zawiadomić.

Szybko nałożyła kapcie i szlafrok. Wyszła z sypialni i zatrzymała się. Znalazła włącznik i zapaliła światło. Przez głowę przemknęła jej myśl, że może lepiej nie podnosić słuchawki, wtedy nie usłyszy żadnych wieści.

Nie. Musiała to usłyszeć. Musiała wiedzieć. Mocno chwyciła się balustrady. Powoli zeszła na dół. Telefon wciąż dzwonił. Widziała go wyraźnie. Głośny dzwonek zdawał się wołać szyderczo: „Chodź! Mam dla ciebie ważną wiadomość!”

Sygnal był tak przenikliwy, że w uszach czuła pulsowanie. Chciała podnieść słuchawkę, a potem od razu ją odłożyć, ale wiedziała, że to nic nie da. Telefon zaterkotał znowu.

Wyciągnęła drżącą rękę, żeby chwycić słuchawkę. Przez chwilę wahała się.

W końcu podniosła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha. Chciała powiedzieć: „Mówi Janie Fogg, słucham”. Nie mogła jednak wydobyć z siebie głosu. Boże! Przynajmniej ten okropny dzwonek ucichł. Usłyszała sygnał i zastanawiała się, czy rozmówca nie rozłączył się. A może jakaś pomyłka? Wtedy przynajmniej będzie mogła wyłączyć swoją złość. Poczula, że odzyskuje głos.

- Mówi Janie Fogg.

W słuchawce panowała cisza. „Do diabła! Jakies głupie kawały” - rozłościła się. Czy ludzie nie zdają sobie sprawy, jak bardzo może zaniepokoić telefon w środku nocy.

- Kto mówi? - Jej głos był pełen gniewu i przerażenia.

Trzymała słuchawkę przy uchu, ale ponieważ nikt nie odpowiadał, postanowiła ją odłożyć. Wtedy usłyszała rżenie. Zupełnie jakby ktoś się dusił.

- Na miłość boską! Kto mówi?

Słyszała teraz wyraźniej. Ktoś ciężko oddychał i nic nie mówił, bo nie mógł... albo nie chciał.

Ta okropna myśl ponownie napelniła ją przerażeniem. Przypomniała sobie, jak kiedyś przed laty otrzymała taki właśnie telefon. Petera nie było w domu, a ona karmiła Gavina. Żeby odebrać telefon, musiała położyć go z powrotem do łóżeczka. Wówczas też usłyszała tylko ciężki oddech, a potem same wyzwiska i przekleństwa. Dzwonił jakiś młody chłopak. Ktoś podobny do Wilsonów. Chciała odłożyć słuchawkę, ale nie mogła. Coś zmuszało ją, by stać i słuchać, jak nieznany

rozmówca ją obraża. Kiedy skończył, wciąż stała blada i drżąca, wsłuchując się w ciszę w słuchawce. Nigdy nie mówiła o tym Peterowi, ale strach nie zniknął całkowicie. Teraz powrócił silniejszy niż kiedykolwiek.

Oddech był donośny, ale nie przypominał oddechu człowieka seksualnie podnieconego. Ciężkie wdechy i wydechy.

- Odpowiedz mi! - Głos Janie znowu stracił swoją siłę. - Kto mówi? Czego chcecie?

Nic, tylko ten miarowy, astmatyczny oddech. Wtedy nagle coś w niej pękło. Gładki plastik słuchawki wydał się jej skórą wstrętnego, wijącego się, śliskiego i jadowitego gada. Odrzuciła ją. Cofnęła się, ale nie mogła oderwać wzroku od tego sapiącego potwora, patrzącego na nią okropnymi ślepiami. Czuła, że zaatakowałby ją, gdyby nie był przywiązany.

Janie powoli przesuwiała się w kierunku schodów. Zamknęła oczy. Boże! Wciąż to słyszała. Ktokolwiek był jej rozmówcą, nie zrezygnował. Tkwił gdzieś po drugiej stronie linii i doprowadzał ją do szaleństwa syczącym oddechem.

Nareszcie wyrwała się tej niewidzialnej sile, która trzymała ją w miejscu, i wbiegła na schody. Przewróciła się. Długi szlafrok krępował jej ruchy. W końcu ostrożnie, niczym małe dziecko, stopień po stopniu weszła na górę. Wciąż słyszała ten upiorny oddech. Kiedy w końcu zrozpaczona oparła się o ścianę, nocny prześladowca odłożył słuchawkę.

Dostała ataku hysterii. To było ponad jej siły.

## 8

Peter z trudem uspokoił Janie. Zajął mu to prawie godzinę. Tym razem nie uderzył jej. Próbował ją utulić i zastanawiał się nawet, czy nie wezwać lekarza. Być może zrobiłby to, gdyby nie mieszkali na tym odludziu wśród walijskich gór. Nie zapalał światła. Wydawało mu się, że półmrok rozjaśniony księżycem podziąła na Janie kojąco.

Powoli jej szloch przeszedł w cichutkie pochlipywanie. Drżała na całym ciele.

- Nie wytrzymam tu dłużej. - Wytarła oczy chusteczką. - Naprawdę, już nie mogę.

- Spokojnie. Ktoś stroi sobie z nas głupie żarty. Być może to znowu ci Wilsonowie. Nie możesz się tak przejmować.

- To nie były dzieci - powiedziała. - Wiem, że nie. To coś bardziej perfidnego niż zwykły żart.

- Rano zadzwonię do Calverta.

- Który oczywiście bardzo dużo zdziała - zadrwiła. - Nic nie zrobił tym chłopakom na motorach. Założę się również, że nigdy nie dowie się, kto zamordował naszego kota. Znowu powie: „Niech pan zostawi to mnie. Rozejrzę się. Gdyby coś się działo, proszę zadzwonić. Natychmiast przyjadę.” Z pewnością przyjedzie, ale tylko po to, żeby znowu odegrać to głupie przedstawienie.

- Zrobimy tak...

- Co? - Janie usiadła na łóżku. Poczula, że strach powrócił w jednej chwili.



W pokoju zrobiło się jaśniej, ale nie za sprawą księżycy. Pomieszczenie wypełniał blask. Wszystko tonęło w złoto-pomarańczowej poświacie. Światło wpadające przez zasunięte firanki tworzyło na ścianach sypialni niesamowite kształty. Cień Petera wyglądał jak wielka marionetka. Cień przerażonej Janie, wymachującej rękami, zdawał się także odgrywać swoiste przedstawienie.

- Co to jest? - krzyczała Janie, obejmując Petera, jakby chciała powstrzymać go przed podejściem do okna.

- Mój Boże!

W jednej chwili Janie znalazła się wraz z nim przy oknie. Nie chciała na to patrzeć, ale musiała. Jej rozstrojone nerwy znowu dały o sobie znać.

Żadne z nich ani przez chwilę nie miało wątpliwości, co się pali. Mgła wciąż zasłaniała wzgórze, ale tańczące płomienie, kłęby dymu i niesamowite kształty drzew były wyraźnie widoczne.

- Ktoś podłożył ogień - syknął Peter. - W żaden sposób ogień nie mógł wybuchnąć sam z siebie.

Mrużył oczy, usiłując dostrzec rozedrgane kształty. Wydawało mu się, że widzi ludzi, ale nie był tego pewien. Czuł, że rozsadza go wściekłość. Miał ochotę rozszarpać tego, kto telefonował do Janie i rozpałił ogień. Ale to nie mogła być ta sama osoba. Nie można było w tak krótkim czasie dotrzeć od telefonu do kamiennego kręgu. Tak... To Wilsonowie. Młodzi dzwonili, a starsi rozniecili ogień. Albo ich ojciec, a może

Bostock lub Peters. Chyba, że to zupełnie ktoś inny...

- Pójdę się rozejrzeć.

- Nie, Peter! Nie! Nie możesz tam iść. Ktokolwiek czy cokolwiek tam jest, zginiesz. Nie zostawaj mnie! O Boże, nie zostawiaj mnie tutaj samej!

Westchnął. Tak, nigdzie nie pójdzie. Nie dlatego, że się boi. Nie mógł zostawić Janie. Znowu była bliska hysterii i nie wiadomo, co mogłaby zrobić pozostawiona sama sobie.

Wrócił do okna. Płomienie sięgały już wyżej. Snopy iskier tryskały w niebo. Podpalacz musiał użyć benzyny lub parafiny.

Peter spoglądał ze zgrozą na szalejący żywioł. Nic nie było w stanie go stłumić. Wypali wszystko wokół i dopiero wtedy zgaśnie. Dzięki Bogu, wzgórze było otoczone mokradłami. W przeciwnym wypadku pożoga mogła dotrzeć nawet do domku. Peter miał wrażenie, że gorące poddmuchy docierają aż tutaj.

Stali tak i patrzyli, jak ogień pożera drzewa. Najpierw liże pnie, a potem, w miarę jak wysychają gałęzie, atakuje coraz wyższe partie sosen. Potworna siła niszczyła wszystko. Peterowi wydawało się, że duchy zmarłych druidów przyszły zniszczyć to miejsce, żeby człowiek nie mógł naruszać ich spokoju.

Wśród trzasków płonących gałęzi uszy Petera wychwyciły inny dźwięk. Po chwili rozpoznał go. „Tak, to warkot silnika.”

- O Boże, oni wciąż tam są. - Oparł się o framugę okna. - Przeklęte gnojki mają samochód.

Po chwili z kłębow dymu wyłonił się kontur szerokiego pojazdu. Land rover odjeżdżał z miejsca przestępstwa. Przez jakiś czas był jeszcze widoczny, a potem zniknął w mroku, który zdawał się pochłonać samochód-widmo. Słysząc było jeszcze przez chwilę odgłos silnika, aż w końcu wszystko umilkło.

Janie i Peter w milczeniu patrzyli na wschód słońca. Pożar przygasł. Ogień natrafił na podmokłe pastwisko i zgasł.

- To był land rover. Jestem pewien - szepnął Peter. - A to znaczy, że nie mieliśmy racji. Chyba zaczynam się gubić w domysłach.

- Co masz na myśli? - Janie była bardzo blada. Atak hysterii już minął, ale wciąż nie mogła się uspokoić.

- Cóż. Z pewnością ani Wilsonowie, ani ci kłusownicy nie mają land rovera. Myślę, że to zacieśnia krąg podejrzanych. Muszę zobaczyć się z Calvertem, ale wcześniej zrobię małą wizję lokalną. Rozwidnia się. Spacer dobrze mi zrobi.

- W takim razie idę z tobą - powiedziała Janie.

- Nie musisz...

- Pójdę i nie próbuj mnie powstrzymać. - Popatrzyła na budzik. - Jest wpół do ósmej. Zdążymy wrócić na czas, żeby zbudzić Gavina do szkoły. Zresztą i tak nie wiadomo, czy pójdzie.

- W porządku. - Zaczął się ubierać. - Nie przypuszczam, żebym dużo tam zobaczył, ale chcę się rozejrzeć, zanim porozmawiam z komisarzem.

Kiedy tylko zaczęli się wspinać na wzgórze, zauważyli, że mgła opada.

- Brr... - Janie wzdrygnęła się. - Mam uczucie, że chmury zstąpiły, aby ukryć to, co się tu dzieje.

- To nonsens. - Zatrzymał się i objął wzrokiem horyzont. - Popatrz! Tam pod lasem!

Kobieta spojrzała we wskazanym kierunku.

- Jelenie! Pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt sztuk.

Stado pasło się spokojnie na skraju lasu. W pewnym oddaleniu stał rogacz. Czujny i majestatyczny.

- Jest wspaniały - westchnęła Janie. Na krótką chwilę zapomniała o nocnych koszmarach.

- O, popatrz na tego z prawej strony. Kuleje. Musi być ranny.

Rzeczywiście, jelen miał kłopoty z chodzeniem. Jego kroki były chwiejne i niepewne, wydawało się, że upadnie.

Wtem zwierzęta uniosły głowy i spojrzały na swojego przewodnika. Ten dał sygnał do ucieczki. Po chwili jelenie zniknęły w leśnej gęstwinie. Pozostał tylko jeden maruder, okaleczony, ale i on podążył za swym stadem.

- Coś je spłoszyło - wymamrotał Peter. - Do diabła. Jesteśmy dobrą milę od nich, a jednak ten rogacz nas zauważył. To pożar sprawił, że tak się zachowywał. Poczuly dym i przestraszone uciekły. Chodźmy na górę.

Po kilku minutach znaleźli się w kamiennym kręgu. Zwęglona ziemia i osmolone szkielety drzew. Połamane gałęzie i popiół. Oto, co zostało po pożarze.

- Okropność! - Janie pociągnęła nosem i zakasłała. Cofnęła się, czując duszący, ostry swąd. To było coś mdlącego i odrażającego. Pochyliła się i zwymiotowała.

- Co to jest, Peter?

- Nie wiem...

Nagle odwrócił się, żeby Janie nie mogła zobaczyć wyrazu jego twarzy. Tak! Nie mylił się. To chyba swąd spalonych zwłok!

- Co to takiego?

Nie odpowiedział. Chwycił nadpaloną gałąź i pogrzebał w popiele. Natrafił na coś twardego. Odwrócił zwęglone resztki.

Janie krzyknęła przerażona. Nie mogła ruszyć się z miejsca. Stała i patrzyła.

Nie było mowy o pomyłce. Częściowo zwęglone ciało, osmalone kostki, zabrudzona popiołem rana i kłaczek białej sierści. Janie próbowała sobie wmówić, że to królik, którego widziała pod lasem, zabłąkał się tutaj i spłonął. Albo lis. Wiedziała jednak, że to nieprawda.

- To... to Snowy! - Dopiero teraz zdołała odwrócić głowę. - Boże, jakie to okropne!

- Tak, to Snowy. - Peter odrzucił nadpaloną gałąź. - Nie mam co do tego wątpliwości. Widocznie nie szukałem wczoraj dość dokładnie.

Sznur musiał się zerwać pod ciężarem i dlatego jej zwłoki spłonęły. Nie żyła już wtedy, więc nie czuła płomieni.

- Kłamiesz - zawołała Janie. - Do diabła, doskonale wiesz, dlaczego wczoraj nie znalazłeś tego kota. Wiesz, że on po prostu zniknął. Nie było go. Tutaj nie mogłaby się ukryć nawet mysz. Dlaczego chcesz mnie okłamać? Ktoś go stąd zabrał i przyniósł tuż przed pożarem. Czy sądzisz, że mógłby to zrobić człowiek? Ja nie. Coś, co króluje w tym kręgu, złożyło krwawą ofiarę. - Jej głos zadrżał.

Przez cały czas rozglądała się niespokojnie, jakby bała się, że za chwilę jakieś potwór powstanie z popiołów.

- Druidzi nie jeżdżą land roverami. Ktoś, kto podłożył ogień, ma samochód. Szkoda, że na tym skalistym gruncie nie można zobaczyć, dokąd prowadzą ślady, ale w każdym razie znamy już jakiś szczegół.

Wracajmy. Im szybciej pomówię z komisarzem, tym lepiej.

Gavin był bardzo błady. Ubrał się jednak i kiedy Janie z Peterem wrócili, upierał się, że pójdzie do szkoły.

- Gdzie byliście?

- W nocy na wzgórzu był pożar.

Janie nie umiała kłamać. Przygotowywała śniadanie i z powodu drżenia rąk rozlała trochę mleka.

Gavin siedział w milczeniu. Być może domyślał się, że rodzice coś przed nim ukrywają. Nie chciał zmuszać ich od dalszych kłamstw.

- Jadę dzisiaj do rodziców - oznajmiła nagle Janie. - Nie martw się. Wróć na podwieczorek. Zdążę.

Peter zmarszczył brwi. Janie nie odwiedzała rodziców zbyt często. Co to może oznaczać? O czym chciała powiedzieć z rodzicami? Cóż, w każdym razie wróci do Gavina. Wprawdzie to mała pociecha, ale jednak.

Kiedy zawoził Gavina do Woodside, słońce było już wysoko i łagodnie oświetlało drogę. Gavin milczał. Patrzył w okno. Peter kątem oka obserwował chłopca. Zauważył, że nie interesował się tym, co widzi za oknem. Po prostu chciał uniknąć rozmowy. Pogrążył się w ponurych rozmyślaniach, z którymi nie chciał lub nie umiał podzielić się z ojcem. Każdy z nich powinien był zwierzyć się drugiemu ze swoich problemów, ale żaden nie potrafił przerwać milczenia.

Droga prowadziła z górki. Saab nieznacznie przyspieszył. Peter chciał właśnie zapytać syna, co sądzi o trzymaniu królika w domu, kiedy nagle zza zakrętu, zasłoniętego zwisającymi gałęziami mdrzewia, wyskoczył potężny land rover.

Instynkt kierowcy nakazał Peterowi błyskawicznie nacisnąć hamulec. Opony zapisały, a samochód wylądował tuż przed żywopłotem, rosnącym wzdłuż drogi. Land rover przemknął w odległości zaledwie kilku cali od zderzaka saaba.

„Cóż, do diabła, myśli sobie ten facet, że jeździ z taką szybkością po wąskich, leśnych drogach?” Kierowca land rovera przyhamował i obejrzał

się. Był przystojnym mężczyzną o arystokratycznych rysach twarzy. Srebrzystopopielate włosy opadały na szerokie czoło. W twarzy wyraźnie odznaczał się orli nos. Surowe spojrzenie zmuszało do odwrócenia się. Czulo się jego wrogość i przenikliwość. Władczy, silny i arogancki.

Kierowca tak przykuł uwagę Petera, że dopiero po chwili popatrzył na samochód. Land rover... W tej części kraju można było spotkać ich setki. Każdy, nawet niebogaty farmer, mógł sobie pozwolić na taki wóz.

Jazda po tutejszych wyboistych drogach nie należała do łatwych, dlatego też wóz był zabłocony. Niewykluczone więc, że za kierownicą samochodu siedział podpalacz lasu.

„Znowu za szybko wysnuwasz wnioski - pomyślał. - Kiedy trzeba wykluczyć zarówno Wilsonów jak i Bostocka z Peteresem, szukasz następnego wroga.” Podniósł wzrok i znowu napotkał surowe spojrzenie mężczyzny. Straszne oczy - pełne nienawiści i pogardy.

Peter zapalił silnik, potem zjechał na pobocze.

Ale kierowca land rovera nie czekał. Ruszył ostro, rozbryzgując błoto tylnymi kołami.

Peter był przekonany, że kierowca zrobił to świadomie.

- Przecież on się nie spieszył, prawda tatusiu? - Gavin był najwyraźniej zaskoczony. - Miał więcej miejsca niż my, żeby zawrócić. Nie mógł poczekać?



- Po prostu zepchnął nas z drogi. - Peter był na siebie wściekły za to, że ustąpił miejsca piratowi drogowemu. Nie zapomni tak łatwo tego samochodu. Wciąż miał przed oczami tę noc i światła reflektorów we mgle.

Okrutny człowiek zamęczył kota, zabrał zwłoki zwierzęcia, aby potem je spalić. To szaleństwo. Jednak szaleniec czy nie, czaił się gdzieś tutaj. Czekał. Ale na co?

Peter zadrżał. Zrozumiał, jak czuła się Janie. Wczoraj w nocy kot. Dzisiaj ofiarą może być człowiek. Janie. Gavin. On sam. Nie było sposobu, żeby się o tym przekonać, dopóki coś się nie stanie. A wtedy będzie za późno.

- To dziwak. Zapewniam pana. - Komisarz schował akta do szuflady. - Mówi pan: land rover. Prawie każdy farmer w okolicy ma land rovera. Nie sądzę, żeby udało się panu zauważyć numer rejestracyjny.

- Nie było szans. Widziałem zaledwie sylwetkę. A przy okazji: dzisiaj w drodze do Woodside spotkaliśmy land rovera. Niebieski gruchot z brezentowym dachem. Kierowca to chyba wcielony diabeł. O mały włos nas nie staranował. Miał długie, siwe włosy i brodę.

- A, ten! - Calvert roześmiał się. - Nie przejmowałbym się nim za bardzo, panie Fogg. To Tim Ruskin. Jest właścicielem prawie całej ziemi w okolicy, gdzie pan mieszka. Za wszelką cenę chciał odkupić Hodre, ale jego oferta nie została przyjęta. Było przez to trochę zamieszania.

- W każdym razie jego zachowanie jest nie do przyjęcia.

- Niech pan posłucha mojej rady i nie wchodzi mu w drogę. Interesują go tylko pieniądze. Zrobi wszystko, żeby zarobić chociaż parę funtów. Uchyła się od podatków. Naprawdę nie wiem, jak on to robi. Wykorzystuje stare słupki i podkłady kolejowe. Kiedy ktoś chce kupić od niego drewno, Ruskin żąda zapłaty jak za nowe materiały. Zadziwiające, że nikt z tutejszych farmerów nie zbuntował się przeciwko temu. To ważny gość, gruba ryba. Jest przewodniczącym Rady i wszyscy okoliczni farmerzy czapkują mu. Wiedzą, że ma on najważniejszy

głos w podejmowaniu wszelkich decyzji dotyczących wsi. Zdają sobie doskonale sprawę z faktu, że jeśli Tim Ruskin udzieli im swego poparcia, już wygrali, ale kiedy wchodzi mu w drogę, próby załatwienia czeokolwiek spelzają na niczym. Ruskin ogroził większość swoich pastwisk i rządzi się jak udzielny książę. Musi być wściekły, mając po środku swoich gruntów taki mały kawałek ziemi jak Hodre, który nie należy do niego. - Policjant zaśmiał się nerwowo.

- To nie wyjaśnia, dlaczego kot zniknął, a potem został spalony, no i dlaczego w ogóle został zabity.

- To sprawka jakiegoś nieszkodliwego dziwaka - powtórzył Calvert.

- Nie mamy żadnej poszlaki, panie Fogg. Niech pan posłucha: w przyszłym tygodniu będę jeździł pandą na nocne patrole. Zajrzę do Hodre. Kto wie, może natrafię na właściwy trop.

„Do diabła! Przecież jest od czego zacząć - pomyślał Peter. - Kampania przeciwko Anglikom, prowadzona przez znikowanych wieśniaków. Wszystko zaczyna się już w szkole.”

- Dobrze, dziękuję. - Wstał. Nie miał już zbyt wiele do powiedzenia. - Sam pan rozumie. Sytuacja staje się coraz bardziej męcząca. Moja żona traci zmysły.

- Z czasem się tu zdomowi. - Calvert otworzył szufladę i wyjął dokumenty. - Na własnej skórze odczułem różnicę między wsią a miastem. Ale to wszystko wkrótce się zakończy. Jestem przekonany, że

ktokolwiek się za tym kryje, niedługo będzie miał dosyć całej zabawy.

- Aha! - Peter odwrócił się, stojąc w drzwiach. - W okolicach Hodre jest duże stado jeleni. Widziałem je dziś rano. Pasły się pod lasem.

- Jesienią zawsze pojawiają się tam jelenie. - Policjant przeglądał luźne kartki. - Niech pan sobie wyobrazi, że dzieje się tak od wieków. Jeszcze zanim posadzono tam las. Stada, które pasą się na nizinach, zbierają się tutaj już w połowie listopada, ale najwięcej jest ich na Boże Narodzenie. Wygląda to tak, jakby coś lub ktoś je tu przyzywał. Może to ten zakłęty kobziarz? Wie pan, co mam na myśli.

Peter nie wiedział, ale znów poczuł się nieswojo. Znowu jakaś tajemnica do wyjaśnienia, jak wszystko w Hodre.

Kiedy wrócił do domu, Janie już nie było. Zauważył, że zlew jest pełen brudnych naczyń. Nie zmyła ich. Zupełnie jakby chciała wyrwać się stąd jak najprędzej.

„Do diabła. Jak tak dalej pójdzie, Janie nie wytrzyma nerwowo. Może byłoby lepiej, gdyby wyjechała do rodziców na trochę. Tylko że to nie jest rozwiązanie na dłuższą metę. Są dwa wyjścia: albo zostaniemy i będziemy walczyć z nieznanym wrogiem, albo wszyscy stąd wyjdziemy. Poddamy się.”

Usiadł za biurkiem. Od trzech dni tkwiła w maszynie ta sama kartka papieru. Pisarz zmarszczył brwi.

To zupełnie jak bieg przelajowy. Na płaskim terenie może zyskać na czasie, a przy pierwszej przeszkodzie, kiedy na przykład trzeba przeskoczyć rów, traci się wszystkie zdobyte wcześniej punkty.

Zaczął pisać, ale po chwili zatrzymał się. W tekście zobaczył kilka błędów, które koniecznie musiał poprawić. Zastanowił się, jak to się stało, że od razu ich nie zauważył. De czasu potrzeba, żeby poznać tajemnice Hodre?

Boże, co tu się dzieje? Czy te wszystkie wydarzenia spowodował Ruskin z Wilsonami? Jeśli zmuszą do wyjazdu jego rodzinę, Blackstone znajdzie przecież następnych dzierżawców. Chyba, że będą wyrzucać każdego po kolei, aż w końcu nikt nie będzie chciał tu zamieszkać i Blackstone sprzeda Hodre. Tyle zamieszania, żeby zdobyć kilka akrów prawie jałowej ziemi, która mogłaby wyżywić zaledwie dwa tuziny owiec. Jednak ten Ruskin był uparty. Nie znosił porażki. Wystarczyło raz spojrzeć w jego przenikliwe oczy, aby zdać sobie z tego sprawę.

Westchnął z rezygnacją. Z każdej strony problemy. Książka, która od samego początku przyprawia go tylko o ból głowy. Do diabła! Czuł, jakby w czaszce waliły mu tysiące młotów. Miał nadzieję, że to nie początek migreny. Może jednak lepiej na dziś odłożyć pisanie. Jutro przemyśli sprawę jeszcze raz. Nie! Wciąż wszystko odkłada na jutro! Czy te piekielne moce zawładnęły także nim? W ten sposób nigdy nie ukończy książki. Musi dokończyć ten rozdział i zacząć następny.

Dopiero wtedy będzie mu wolno przerwać pracę.

Wyjął kartkę z maszyny, a następnie włożył czysty papier i kalkę. Kiedy ustawiał arkusz, ręce lekko mu drżały. Napisał wielkimi literami ROZDZIAŁ DRUGI. Uderzał w klawisze jednym palcem, zupełnie jakby chciał mieć jak najwięcej czasu na zastanowienie. Pierwsze zdanie. Nie lubił ani zakończeń, ani początków. Jak zawsze w takich sytuacjach miał pustkę w głowie. Wyrazy bawiły się z nim w kotka i myszkę. Chowały w najdalszych zakamarkach umysłu.

Usadowił się wygodnie. Źle, że znowu zaczął palić. Nie powinien trzymać papierosów pod ręką. Spojrzał na zegarek. Wpół do dwunastej. Zastanawiał się, czy Janie zostawiła mu coś na lunch. Pewnie nie, bo kiedy był sam, zazwyczaj wolał zrobić sobie kanapkę.

Postanowił przygotować sobie coś do jedzenia, nie dlatego, że był głodny, ale żeby mieć poczucie, że robi coś pożytecznego. Tego właśnie brakowało mu od kilku dni. Zresztą i tak musiał oderwać się od pisania i wziąć aspirynę.

Wtedy zadzwonił telefon. Dźwięk dzwonka rozdrażnił Petera. Sygnał był bardzo słaby, zupełnie jakby prąd nie zasilął odpowiednio aparatu.

Peter wstał powoli. Nie miał ochoty na rozmowę. Pomyślał, że to pewnie Toison, dyrektor wydawnictwa. Określał wymagania wobec książek, a potem, na przykład sześć tygodni później, uzupełniał listę

wskazówek, do których pisarz musiał się zastosować. Peter słyszał narzekania swoich kolegów po piórze. Mówili mu: „Miałeś szczęście. Pierwsza książka bez poprawek! Ale uważaj, on jeszcze może coś wymyślić!” Tak, to mogło być to, Toison zdecydował, że musi dać odczuć pisarzowi, że jest panem i władcą.

Albo, tknęło go jakieś złe przeczucie, to znowu ten nocny żartowniś. Raz dwa sobie z nim poradzi: „Odpieprz się, ty głupi bękarcie. Jestem zbyt zajęty, żeby słuchać twojego wzdychania.”

Peter wziął słuchawkę do ręki.

Równie dobrze mógł to być pan Hughes. „Gavin nie czuje się dobrze. Byłoby lepiej, gdyby zabrał go pan do domu.”

Dość tego. Musi się w końcu dowiedzieć, o co naprawdę chodzi.

- Mówi Peter Fogg.

- Pan Peter Fogg z Hodre?

- Tak.

- Tu szpital w Llanrhayader.

- Tak? - Peter nie mógł zrozumieć, dlaczego do niego dzwonią.

- Obawiam się, że musimy przekazać panu złą wiadomość, panie Fogg. Pańska żona miała wypadek. Odniosła dość liczne obrażenia. Jest jeszcze na sali operacyjnej. Wciąż nie odzyskała przytomności.

„O Boże! Jak to się stało? Dlaczego? To musi być pomyłka. To nie mogło się przytrafić mojej Janie. To niemożliwe! Nie mogę w to uwierzyć!”

Peter był przez chwilę bliski omdlenia. Po chwili jednak jego umysł zaczął pracować normalnie. Odzyskał zdolność logicznego myślenia.

- Postaram się przyjechać jak najszybciej.

Odłożył słuchawkę i sprawdził, czy ma przy sobie kluczyki od samochodu.

Nazwa miejscowości była mu znajoma, to dość duże centrum handlowe, gdzieś w głębi kraju. Automatycznie wziął z półki atlas i odszukał miejscowość.

Trzydzieści mil. Dojazd szosą, a potem, parę mil przed miastem, trzeba wjechać w główną drogę. „Co, u diabła, robiła tam Janie? Może przez przypadek zabrał ją tamtejszy ambulans? Nie czas teraz na rozważania.”

Usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce. Samochód jakimś cudem zapalił od razu. Peter nacisnął pedał gazu. Koła ruszyły ostro, rozbryzgując błoto dookoła.

„Uspokój się. Nie możesz się narażać na niebezpieczeństwo. Teraz jesteś potrzebny Gavinowi bardziej niż kiedykolwiek.”

Zbliżając się do zdraдлиwego zakrętu, modlił się, by nie było za nim Ruskina z tym jego land roverem. Może powinien wpaść do szkoły i zabrać Gavina? Nie. Szpital to nie miejsce dla chłopca, którego matka... Bał się myśleć, co mogło się stać Janie. Nie znalazłaby się tam, gdyby nic jej nie było. Nie. Najpierw pojedzie do szpitala. Z Llanrhayader



zadzwni do Hughesa i zapewni w ten sposób Gavinowi opiekę do czasu swojego powrotu.

Za Woodside wjechał w krętą drogę, która wiodła wzdłuż doliny. Słońce oświetlało ostatnie ślady jesieni. Niedługo zima okryje białym płaszczem suche liście.

Nagle ostro zahamował. Tuż za zakrętem pojawił się stary traktor, ciągnący przyczepę pełną gnoju. Peter nie mógł dojrzeć żadnej tablicy rejestracyjnej. Nacisnął klakson. Zauważył, że traktorzysta próbuje zapalić fajkę, prowadząc jedną ręką. Traktor niebezpiecznie wjechał na środek drogi. Peter zapalił reflektory. Żadnej reakcji. Być może kierowca nie używał lusterka.

Kolejny zakręt. Peter musiał zwolnić do piętnastu mil na godzinę. Zaryzykował wyprzedzenie i gwałtownie przyspieszył. Nie wierzył, żeby można było uciec przed swoim losem. Jeśli miałyby teraz zginąć, nie jest w stanie nic zrobić, by temu zapobiec.

Przed sobą zobaczył wąską drogę. Nie ma nic gorszego niż jazda wiejskimi drogami. Stracił mnóstwo czasu i usiłował to teraz nadrobić, zanim zatrzyma go następna przeszkoda. Sześćdziesiąt pięć mil na godzinę. Czuł wzrastające obroty silnika.

Spojrzał na zegarek. Pięć po dwunastej. To niemożliwe. Minęło już tyle czasu od tego telefonu. Zegarek musiał stanąć.

Zielony znak z żółtym napisem obwieszczał: LLANRHAYADER 5. Peter skręcił w lewo.

Llanrhayader było większe, niż się spodziewał. Długa, kręta droga, po jednej stronie szare, kamienne domy, po drugiej zbudowane z czerwonej cegły budynki rady miejskiej. Skrzyżowanie. Następne. Czerwone światło i do tego jakaś banda wyrostków, spokojnie wlokąca się przez jezdnię. Zupełnie jakby mówili: „Mamy nadzieję, że twoja żona umrze, zanim przyjedziesz.”

Ruszył ostro do przodu. Opony zapiszczały. Kolejne sto jardów i znowu skrzyżowanie. Tym razem przed światłami czekało więcej samochodów.

Peter poczuł się nagle zagubiony - gdzie w tym dużym mieście jest szpital? Wychylił się przez okno, żeby zapytać kogoś z przechodniów i wtedy zauważył tabliczkę z napisem: SZPITAL. Ulga i strach jednocześnie. Czego dowie się w szpitalu? Co z Janie? Spojrzał na zegarek: piętnaście po dwunastej; więc jednak nie stanął.

Szpital składał się z kilku budynków: starych -kamiennych i nowoczesnych, zbudowanych z wielkiej płyty. Z prawej strony znajdował się parking, z lewej, przed głównym wejściem, tabliczka informowała „Zakaz parkowania. Nie dotyczy karettek.”

Dla Petera nie miało to żadnego znaczenia. Podjechał prosto pod główne wejście i szybko wyskoczył z saaba. Pchnął szklane drzwi. Czuł, że wpada w panikę. Chciał krzyknąć: „Zaprowadźcie mnie do mojej żony!”

- W czym mogę panu pomóc? - zapytała niska, ciemnowłosa dziewczyna z rejestracji. Jej łagodnie uśmiechnięta twarz nie zdradzała

zaskoczenia zachowaniem Petera. „Być może zachowują się tak wszyscy, którzy otrzymują telefony ze straszną informacją: WYPADEK” - pomyślał Peter.

- Moja żona... - głos mu się załamał. - Odniosła obrażenia. Otrzymałem telefon.

- Nazwisko? - dziewczyna zapytała z miejscowym śpiewnym akcentem.

Zaczęła przeglądać rejestr wypadków. Potrząsnęła głową. Peter przytrzymał się okienka. Przed oczyma zobaczył czerwone plamy. Był bliski omdlenia. Dostrzegł, że wargi dziewczyny poruszyły się. „O Boże, nie!”

- Przykro mi, proszę pana...

Poczuł, że nogi się pod nim uginają.

- Przykro mi, ale na ostry dyżur nie przywieziono nikogo o tym nazwisku.

„To szaleństwo. Źle szukała nazwiska. Ktoś nie zanotował wypadku mojej żony. Może ona teraz umiera, aja nie mogę być przy niej.”

- Niech pani sprawdzi jeszcze raz. Dostałem telefon.

- Od kogo, proszę pana? O której godzinie? - Nie uśmiechała się już.

- Oczywiście, ze szpitala. O jedenastej trzydzieści. Pamiętam dokładnie, bo... - Do diabła, jakież to miało znaczenie, dlaczego pamiętam. Pielęgniarka wykręciła jakiś numer w szpitalu. Oczekiwanie. Ktoś sprawdza. Wszyscy sprawdzali po kolei, ale najwyraźniej robili to źle.

Tymczasem ludzie umierali, ale to nie miało dla nikogo znaczenia.

Dziewczyna odłożyła słuchawkę. Patrzył na nią, niemal czytając w jej myślach, zanim powiedziała:

- Przykro mi, proszę pana. Sprawdziliśmy dokładnie. Zapewniam pana, że nie przywieziono tu pańskiej żony. Może zawieziono ją gdzieś indziej.

Pokręcił głową.

- Wszystko w porządku. Skoro tu jej nie ma, to znaczy, że nic się nie stało. - Poczul ogromną ulgę. - Myślę, że to po prostu głupi kawał.

- W takim razie powinien pan pójść na policję. Posterunek jest bardzo blisko. Wyjedzie pan główną bramą, skręci w prawo i dojedzie do świateł...

Ale Peter już nie słuchał. Pchnął ciężkie wahadłowe drzwi i wsiadł do saaba. Wciąż czuł się słabo.

„Pieprzone gnojki! Jak daleko się jeszcze posuną?”

Głupi kawał, czy może ktoś chciał się go pozbyć? Mieć pewność, że nie będzie go w Hodre przez kilka godzin? Co dzieje się teraz z Gavinem i Janie?

Odzyskał władzę w rękach i nogach. Zapalił silnik i wyjechał na główną drogę. Zastanawiał się, czy nocny telefon miał związek z dzisiejszym. Wyglądało na to, że wszystko, co zdarzyło się w Hodre, było dokładnie zaplanowane.

Szybko minął dwa skrzyżowania, ale na trzecim barierki były opuszczone. Sznur czekających pojazdów ciągnął się dość daleko. Znowu siedział beczynnym w samochodzie i tracił cenne minuty. Czuł, że strach ściska go za gardło.

Samochody przed nim ruszyły. Przyspieszył nieznacznie. Mógł pojechać szybciej, ale wołał nie ryzykować. Zresztą nie miał możliwości wyprzedzenia tej niekończącej się kolumny samochodów.

W końcu wyjechał na boczną drogę, ale przed nim wciąż włókł się jakiś maruder. Próbował go wyprzedzić, lecz kierowca citroena nie chciał się poddać.

Nagle silnik saaba zaczął pracować nierówno. Peter przez chwilę zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej zawrócić i poszukać jakiegoś warsztatu, ale szybko odrzucił tę myśl. Zbyt dobrze znał mechaników. Na razie mógł jeszcze jechać, w innym przypadku być może musiałby zatrzymać się w Llanrhayader na dłużej.

Osiem mil od Llanrhayader musiał zatrzymać się na poboczu. Podniósł pokrywę. Silnik parował. Do diabła! Przecież zaledwie tydzień temu odebrał samochód od mechanika.

Przez chwilę łudził się, że może po prostu silnik się przegrzał, a kiedy ostygnie, znowu zacznie pracować normalnie. Wiedział jednak, że to nieprawda. Ktoś celowo zadzwonił, żeby wywabić Petera z domu i udało mu się. Czuł, że coś jest nie w porządku. Nad Hodre nadciągała burza.

- Moim zdaniem musi pan oddać samochód do warsztatu.

Wysoki, łysiejący mechanik z pogotowia technicznego miał minę lekarza stawiającego diagnozę.

- Ale przecież dopiero tydzień temu odebrałem go z naprawy - zawołał Peter.

- Cóż. Na pana miejscu następnym razem wybrałbym inny warsztat - Mechanik wrzucił klucze do pudła z narzędziami. - Nie wymieniono filtra i dlatego silnik się przegrzał. Poza tym należałoby sprawdzić jeszcze kilka drobniaków.

- Dziękuję. - Peter usiadł z powrotem za kierownicą. Chciał sprawdzić, czy awaria rzeczywiście została usunięta, zanim mechanik odjedzie.

Silnik zapalił i pracował miarowo. Samochód lekko ruszył z miejsca. Peter poczuł, że saab odzyskał dawne przyspieszenie. Spojrzał na zegarek: trzecia trzydzieści. Nie dotrze do Woodside wcześniej niż kwadrans po czwartej. Gavin będzie się niepokoił, o ile w ogóle chłopiec będzie na tyle rozsądny, żeby na niego poczekać. Do diabła! Nigdzie w pobliżu nie ma budki telefonicznej i nie mógł zadzwonić do szkoły. Pozostało mu tylko jechać jak najszybciej i modlić się, żeby silnik znów nie nawalił.

Kiedy w końcu przybył do Woodside, było już szaro. W pośpiechu zaparkował wóz przed budynkiem szkoły. Światła padające z okien klasy łagodnie oświetlały boisko. Było na nim zupełnie pusto.

Peter wyskoczył z samochodu i pobiegł do klasy. Z trudem powstrzymał krzyk: „Gavin, gdzie jesteś?” Zatrzymał się i rozejrzał dookoła. Nigdzie nie było żywej duszy. O Boże! Przecież szkoła nie może być zamknięta, skoro pali się światło. Ktoś musi tu być.

- Czy mogę panu pomóc, panie Fogg?

Peter zadrżał. Nie słyszał, żeby ktokolwiek podchodził do niego. Malcolm Hughes musiał stać gdzieś w półmroku, czekając na niego i obserwując. Dlaczego się ukrywał?

- Gdzie jest Gavin? - Głos Petera zabrzmiał niemal oskarżycielsko.  
- Co zrobił pan z moim synem?

- Odjechał stąd w kwadrans po zakończeniu lekcji.

Peter popatrzył w szyderczą twarz dyrektora. Miał okropną chęć zdzielić go pięścią. Chciał zawołać: „Nie miał pan prawa pozwolić mu odejść. Jest pan za niego odpowiedzialny, dopóki go nie odbiorę.”

- Jak to? - starał się opanować drżenie głosu.

- Niech się pan nie denerwuje. - Hughes mówił powoli, jakby celowo chciał jak najdłużej trzymać go w napięciu. - Nie poszedł sam. Miał szczęście. Jeden z naszych sąsiadów zaproponował, że podrzuci go do Hodre.

O Boże, przecież prawie nikt nie jeździ w te góry. Może to Janie wróciła wcześniej od rodziców. Ale dlaczego on mi tego nie powiedział?

- Pan Ruskin zabrał go swoim land roverem.

Ruskin! Peter zadrżał na dźwięk tego nazwiska.

Poczuł zimno i rosnący strach. Land rover, który odjeżdżał tuż po pożarze... Nienawiść w oczach kierowcy, kiedy spotkali się wczoraj... A teraz z jakiegoś powodu Tim Ruskin zabrał Gavina do domu. Czy na pewno do domu?

- Dlaczego? Na miłość boską, dlaczego Ruskin zabrał mojego syna?

- Przez myśl mi nie przeszło, że mógłby pan być z tego niezadowolony - zdziwił się dyrektor. - Pan Ruskin zrobił dla szkoły wiele dobrego i jest bardzo szanowany w okolicy. Wpadł, aby przedyskutować ze mną pewną sprawę, a kiedy wychodził, Gavin wciąż był na boisku. Sam zapytałem pana Ruskina, czy mógłby nadłożyć nieco drogi i zabrać chłopca do domu. Chyba nie widzi pan w tym nic złego?

- Nie, oczywiście, że nie. - Peter obliznął spierzchnięte wargi. „Mam nadzieję, że rzeczywiście zabrał go do domu”. - Dobrze, dziękuję panie Hughes. Będzie lepiej, jeżeli już pojedę. Żona wyjechała, a chłopiec nie ma kluczy. Robi się ciemno!

Kiedy zbliżał się do wzgórza, mgła stawała się coraz gęstsza, zupełnie jakby chciała ukryć jakieś złe moce. Peter jechał szybko, modląc się, by nikt nie jechał tędy w przeciwnym kierunku. Wąska droga zdawała się go osaczać. Przypomnił mu się koszmarny sen. Wydawało mu się, że nie może wyjść z labiryntu. Teraz czuł się podobnie. Miał wrażenie, że zablądził i jeździ w kółko. Tymczasem zbliża się noc, Gavin jest... No właśnie, gdzie jest?

Wreszcie jego zmęczonym oczom ukazało się Hodre. Ciemnoniebieski mini stał zaparkowany przed kamiennym domem. Więc Janie



też wróciła. W takim razie wszystko było w porządku. Nie musiał się już o nic bać. To znowu ta jego bujna wyobraźnia.

Zgasił silnik i wyłączył światła, ale przez chwilę siedział jeszcze w samochodzie. Chciał się trochę uspokoić. Nie mógł pozwolić, żeby Janie zobaczyła go w takim stanie. Powtarzał sobie, że nie było powodu do niepokoju. Za dużo myślał i dlatego przychodziły mu do głowy różne bzdury. Ale telefon, pożar i zamęczony kot były faktami.

- Dlaczego nie było cię tak długo? - Janie stała przy zlewie i płukała świeżo obrane ziemniaki. Wyglądało na to, że była tu od dłuższego czasu.

Peter ponownie oblizal wargi. Nie umiał kłamać. Znowu będzie musiał opowiedzieć jej wszystko. Kiedy pisał książkę, nie miał problemu z fabułą, jednak kiedy oczy Janie wpatrywały się w niego wyczekująco, nie potrafił przed nią ukryć niczego.

- Gdzie jest Gavin? - zapytał, chcąc zyskać na czasie.

- Co masz na myśli? - Z oczu Janie zniknęła ciekawość. Była przerażona. - Myślałam, że odebrałeś go ze szkoły.

Peter miał wrażenie, że znajduje się na karuzeli. Przytrzymał się stołu, aby nie upaść. Jak przez mgłę patrzył na przerażoną żonę. Z oddali słyszał jej głos:

- Parcież zabrałeś go ze szkoły, prawda?

- Hughes powiedział, że Ruskin podrzucił chłopca do domu.

- Dlaczego? - Podeszła do niego z zaciśniętymi pięściami. - Peter, dlaczego go nie odebrałeś. Gdzie byłeś?

- Ja... - Za długo trzeba by jej było wyjaśniać. Może zrobi to później. - Posłuchaj, zadzwonię do Ruskina i dowiem się, co się dzieje.

Drżącymi rękoma chwycił książkę telefoniczną. Był tak zdenerwowany, że nie mógł rozdzielić kartek. Próbował się uspokoić. Znalazł w końcu właściwe nazwisko i wykręcił numer.

Sygnal po drugiej stronie linii zdawał się zamierać. Ktoś podniósł słuchawkę.

- Farma pana Ruskina - powiedział kobiecy głos. Brzmiał bardzo młodo. Być może była to córka gospodarzy.

- Czy mogę mówić z panem Ruskinem?

- Przykro mi, ale nie ma go w domu. - Suche stwierdzenie. Żadnego zainteresowania ani chęci udzielenia pomocy.

- Mówi Peter Fogg z Hodre. Pan Ruskin zabrał mojego syna ze szkoły...

Cisza. Zdenerwowało go, że nie widzi reakcji dziewczyny. Nie wiedział, czy odłożyła słuchawkę i odeszła, czy po prostu nie usłyszała, co powiedział.

- Nic o tym nie wiem. - W jej głosie brzmiało zniecierpliwienie.

- Mojego syna nie ma w domu - powiedział Peter ostro. - Chciałbym wiedzieć, gdzie jest.

- Zostawię wiadomość dla ojca. - Niemal widział, jak młoda kobieta ze zniecierpliwieniem odkłada słuchawkę.

- Chwileczkę. Mój syn zaginął i...

Dziewczyna rozłączyła się.

Peter zacisnął dłoń na słuchawce. Miał ochotę roztrzaskać aparat. Zamiast tego odłożył jednak słuchawkę na miejsce i popatrzył na Janie.

- Ruskin musiał go tu podrzucić. Nie miał żadnego powodu, żeby...

- Żeby co?

- W każdym razie - Peter czuł, że musi zacząć coś robić - powinniśmy pójść go poszukać. Sprawdźmy najpierw w szopie. Może bawi się z królikiem.

Gdyby tam był, wziąłby ze sobą latarkę. Peter poszedł sprawdzić do sieni. Z ulgą zobaczył, że wszystko jest na swoim miejscu. Janie cały czas nie spuszczała go z oczu. Było już ciemno i czuło się w powietrzu przenikliwą wilgoć.

Peter otworzył ciężkie drzwi szopy. Poczul zapach stęchlizny. Na starym stole stała klatka.

- Popatrz! - krzyknęła Janie. - Nie ma królika!

Małe druciane drzwiczki były szeroko otwarte.

W środku nie było nic prócz wiązki siana i na wpół zjedzonej marchewki.

- On nie mógł uciec sam! - Janie patrzyła na pustą klatkę, pragnąc, aby jakimś cudem zwierzątko znalazło się w niej z powrotem. Drzwiczki klatki chwiały się, leciutko zgrzytając.

- A jednak go nie ma - powiedział Peter. – Na pewno Gavin zabrał go ze sobą.

Ale dlaczego? Dokąd?

Na razie nie było na to odpowiedzi. Peter odwrócił się, nie chciał, żeby Janie odkryła jego myśli. Czuł się tak, jak w ostatni sobotni ranek. Znowu będą go szukali, tylko tym razem przy świetle latarki.

Zaczęli wspinać się na strome zbocze za domem. Mgła zakrywała wszystko, nie pomagała nawet latarka. Ponury mrok krył w sobie coś straszego.

Peter zatrzymał się. Janie ciężko wsparła się na jego ramieniu. Chciał coś powiedzieć, żeby przerwać tą okropną ciszę, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Nagle wszystko przerwał pełen przerażenia głos dziecka.

- Gavin! - Janie pchnęła Petera do przodu. Czuła, że odzyskała siły. Biegli razem przed siebie, nie patrząc pod nogi. - Gavin! Gaaavin, gdzie jesteś?

Peter nie miał cienia wątpliwości, że krzyk dochodził z kamiennego kręgu.

Kiedy wspięli się na górę, zobaczyli maleńkie światło. Peter wiedział, że była to mała, kieszonkowa latarka Gavina, którą wygrał na festynie w Perrycroft. O Boże, gdyby tylko mogli znaleźć się z powrotem w Perrycroft.

Pierwszy podbiegł do chłopca. Przytulił drżące dziecko od siebie. Janie w kółko coś powtarzała. Była bliska hysterii.

- Zamknij się - zawołał. Potrząsnął najpierw nią, a potem chłopcem. - Zamknijcie się, oboje!

Przez chwilę nie było słycać nic prócz szlochu Gavina. Światło lartarki ukazało to, co tak przeraziło chłopca. Krwawy obraz sprawił, że Peter zapragnął uciec stąd jak najdalej, schronić się w domu i zabyrkadować drzwi. Ukryć się przed tą nieludzką siłą, która tak okrutnie postąpiła z królikiem.

Królik leżał rozciągnięty na płaskim kamieniu, znajdującym się pośrodku kręgu. Wszystkie cztery łapki przywiązano sznurem. Zwierzątko nie żyło. Miało poderżnięte gardło i rozpruty brzusek. Świeża krew wciąż kapiała na leżący wokół popiół.

- Chodźmy lepiej do domu. - Peter pociągnął ich za sobą, żadne z nich nie próbowało się opierać.

- Kto... kto mógł to zrobić? - wyszeptala Janie. - Przecież to takie okrutne i bezsensowne.

Kto? Peter oddałby wszystko, aby znaleźć odpowiedź na to pytanie. Przed oczami znów zobaczył land rovera. Najpierw niewyraźną sylwetkę samochodu odjeżdżającego z miejsca pożaru, potem jego właścicielka, Ruskina.

W końcu dotarli do domu. Peter wepchnął żonę i syna do środka, a potem zarygłował drzwi.

- Wracam z Gavinem do rodziców – powiedziała Janie. - Wszystko już załatwiłam. Będę wozic go do szkoły w Perrycroft.

Westchnął. Wiedział, że nie zmieni planów żony. Śmierć królika umocniła ją w przekonaniu, że powinna to zrobić.

- Dobrze - powiedział. - Jeśli tego chcesz, możecie jechać. Ja zostanę. Nie będę przed nikim uciekać.

- Jesteś szalony.
- Nie - odparł wolno. - Zostanę tu z dwóch powodów. Po pierwsze: muszę skończyć książkę, a po drugie: mam rachunki do wyrównania.
- Z kim? - nie rozumiała. - Czy sądzisz, że kiedykolwiek dowiesz się, kto to?
- Spróbuję. - Odwrócił się do Gavina, siedzącego przy kominku.
- Biedny chłopczyk usiłował stłumić szloch. Po bladziutkiej twarzączce sływały łzy. - Gavin, jak dotarłeś do domu?
- Chłopiec patrzył w podłogę.
- Ten farmer, który chciał nas zepchnąć z drogi, przywiózł mnie tutaj. Nie chciałem jechać, ale pan Hughes powiedział, że muszę. Ten człowiek mnie przeraża.
- Czy przywiózł cię prosto do domu?
- Tak - pokiwał głową Gavin. - Przez cały czas opowiadał różne rzeczy, próbując mnie przestraszyć.
- Jakie?
- Mówił - łkał Gavin - że tu, w kamiennym kręgu, żyli kiedyś druidzi. Ich duchy wciąż odwiedzają to miejsce. To one rozpałył pożar, żeby powstrzymać ludzi takich jak my od zakłócania im spokoju.
- To wierutne bzdury!
- Byłem przerażony. - Gavin drżał. - Przez cały czas patrzył na mnie tymi swoimi stalowymi oczami, jakby chciał przewiercić mnie na wylot. Miałem wrażenie, że czyta w moich myślach. Mówił też, że ludzie tacy jak my nie powinni tu przyjeżdżać. Jesteśmy mieszcuchami

i nie znamy wiejskich obyczajów. Prawdopodobnie dlatego rozgniewaliśmy duchy druidów.

- Przekłety drań - syknął Peter. - Jak daleko jeszcze posunie się, żeby nas sterroryzować? On po prostu usiłuje wypędzić nas stąd, żeby Clive Blackstone sprzedał Hodre. Już ja się rozprawię z tym Ruskinem.

Gavin poszedł na górę. Peter domyślał się, że chłopiec chciał się po prostu wypłakać w swoim pokoju. Miną lata, zanim wymaże z pamięci to, co dziś zobaczył. Musiał domyślać się, że podobny los spotkał Snowy.

Kiedy zostali sami, Janie nie wytrzymała.

- To twoja wina. Gdybyś nie pojechał nie wiadomo dokąd i odebrał chłopca ze szkoły, to wszystko nie miałoby miejsca.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował. Do diabła! Przecież nie było sensu opowiadać jej teraz o wszystkim, co dzisiaj przeżył. Janie i tak wyjedzie. Zresztą może tak będzie lepiej. Nie będzie się o nich bał.

- A może Ruskin mówił Gavinowi prawdę? - Janie przygotowywała kawę, rozlewając wodę drżącymi rękami.

- Nie bądź śmieszna. Przecież to bzdury. Nawet Gavin w to nie wierzy, po prostu żal mu królika.

- Jesteś nie tylko nieczuły, ale w dodatku ślepy. Czy do ciebie naprawdę nic nie dociera? Przecież widziałeś, co się stało z tym nieszczęsnym zwierzątkiem.

- O czym ty mówisz, do diabła? Po prostu ktoś zabrał królika z klatki, przywiązał go do kamienia i zabił.

- Nie mam na myśli królika - Janie już prawie krzyczała. - Chodzi mi o ten kamień, na którym leżał.

- Nie rozumiem - patrzył na nią, czekając na odpowiedź.

Janie piła kawę.

- Słyszałeś chyba, że wiele lat temu używano takich kamieni jako ołtarzy. Mówię ci, że to kamień ofiarny.



Peter, gdy został sam, poczuł się lepiej. Nie bał się już teraz o Janie i Gavina. Kiedy mini zniknął za zakrętem, Fogg odwrócił się i poszedł do domu. Powiedział sobie, że teraz liczy się tylko książka. Wszystko inne może poczekać. Okazało się jednak, że to nie takie proste. Było już południe, a on wciąż nie mógł zmusić się do pracy. Dziwiło go to, ponieważ pierwszy raz w życiu miał spokój i doskonałe warunki do pisanja. A jednak nie napisał jeszcze zakończenia do pierwszego rozdziału, a drugi wciąż nie był rozpoczęty. Bezczylnie siedział przed biurkiem. Myśli co chwilę wybiegały gdzieś w dal. Rzeczywistość, z którą miał do czynienia w Hodre, była bardziej nieprawdopodobna niż książka, którą pisał. To, co się tutaj działo, przechodziło wszelkie pojęcie. Gdyby naprawdę tego nie przeżył, powiedziałaby, że to twory czyjejś chorej wyobraźni. Za oknem mgła otulała wszystko gęstą zasłoną. Kiedy patrzył w nią i z wysiłkiem usiłował wyodrębnić kształty najbliższych przedmiotów, poczuł się nieswojo. Teraz, kiedy był sam, ta piekielna mgła działała na niego znacznie gorzej. Gdyby Janie po prostu pojechała do swoich rodziców, a Gavin był w szkole, Peter pewnie wcale by tego nie zauważył. Teraz wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Bezsilność i samotność wkradała się w jego umysł i zżerała duszę. Może zrobił błąd, że nie spakował się i nie pojechał z nimi, ale w takim wypadku praca

nad książką stanęłaby w miejscu. Nie, to nie ze względu na książkę tu został. Tak jak powiedział Janie, musiał się z kimś rozliczyć. Z kim? Z Ruskinem? Ktokolwiek był sprawcą tych wydarzeń - zapłaci za wszystko. Nagle usłyszał odległy warkot silnika. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi, ale teraz wszystko ucichło i ten nagły spokój przytłaczał go. Peter wstał od biurka. Znalazł kolejną wymówkę, by na chwilę oderwać się od pracy. Samochód zatrzymał się gdzieś niedaleko na drodze. Gdyby była lepsza widoczność, mógłby zobaczyć go z ogrodu, ale przy takiej mgłę musiałby przejść około stu jardów. Wiedział, że nie ma powodu, aby tam iść, a jednak nałożył płaszcz i wyszedł na dwór. O Boże, było znacznie chłodniej niż wczoraj. Jeśli temperatura spadnie jeszcze o kilka stopni, mgła będzie zamarzać. Było tak cicho, że Fogg miał ochotę wrócić do domu i zacząć hałasować. W tym pustym świecie czuł się jak intruz. Rozglądał się, usiłując przebić wzrokiem mgłę, w każdej chwili gotów do ucieczki. Przed czym? Nie wiedział, to właśnie było najgorsze. Strach przed nieznanym. Usłyszał krakanie kruka. Usiłował go dojrzeć, ale nie zdołał. Zastanawiał się, czy to ten sam, który tak poszarpał zwłoki kota. Wydawało mu się, że powinien już dotrzeć do samochodu. Ta przekłeta mgła tłumiła każdy odgłos. Tymczasem samochód mógł stać kilka jardów przed nim. Na co czekali jego właściciele? Peter zadrżał. Przestraszył się, kiedy nagle w ponurej szarości zamajaczyła przed nim jakaś niezgrabna sylwetka. Land rover! Peter odzyskał oddech i cofnął się. Lodowatymi palcami przetarł czoło.

Zaschło mu w gardle. Zajrzał do środka. Z ulgą zobaczył, że pojazd jest pusty. Z tyłu leżała tylko wiązka siana. Po chwili jednak niepokój powrócił. Gdzie jest kierowca, dlaczego się zatrzymał i co robi w tym miejscu? Peter był przekonany, że to samochód Ruskina, ten sam, który spotkał wczoraj rano na drodze. Co, do diabła, on tutaj robi? Ruskin na pewno wiedział, gdzie jest i że nie ma nic do roboty w Hodre. Peter nie wahał się. Był przekonany, że Ruskin poszedł w górę wzdłuż żywopłotu starą ścieżką wydeptaną przez owce - do kamiennego kręgu. Czuł, że serce bije mu szybciej. Zastanawiał się, czy Ruskin przyszedł zabrać zwłoki królika, czy też usunąć dowód zbrodni? A może przygotowywał się do następnego kroku? Peter szedł szybko. Gniew dodawał mu sił. Chciał jak najszybciej spotkać się ze swoim sąsiadem. Miał wiele pytań do niego. Między innymi, dlaczego nie zadzwonił poprzedniego wieczoru i dlaczego straszył chłopca przez całą drogę do Hodre. Peter wiedział, że jest niedaleko kamiennego kręgu, ale w gęstej mgle stracił orientację. Znowu usłyszał gniewne krakanie. Zupełnie jakby coś przeszkadzało krukowi w rozszarpywaniu padliny. Być może była to sprawka Ruskina, ten drań nie mógł być daleko. Kiedy zobaczył drzewa, wiedział już, że dotarł na miejsce. Czuł się jak dziecko, które wie, że jest obserwowane z ukrycia. Czuł, że ktoś lub coś czeka na niego. Dostrzegł jakiś ruch wśród drzew i zadrżał. Kształt, który majaczył przed nim, na pewno należał do człowieka. Ciężkie kroki

wzniecały tumany kurzu, unoszącego się nad wygasłym popiołem. Kto przyszedł tu, na tę spaloną ziemię?

- Do diabła, co tutaj robisz, Ruskin? – krzyknął Peter, ale mgła stłumiła jego głos. - Przyszedłeś zabrać królika?

Mężczyzna odwrócił się wolno. Jego twarz wyrażała gniew. Długie włosy i powiewająca broda wydawały się zupełnie białe. Peter odniósł wrażenie, że to diabeł pokonany przed wiekami zjawił się tutaj, aby wśród popiołów odnaleźć utracone królestwo. A może to zmartwychwstały druid?

- Przyszedłem tutaj, bo szukam zagubionych owiec. Mam prawo to robić.

- Naruszył pan cudzą własność. Cóż to za maniery, żeby wkraczać na czyjś teren bez powiadomienia. Wie pan, gdzie mieszkam.

- Nie widziałem najmniejszego powodu, żeby przeszkadzać panu w pracy i mówić o czymś, czego i tak pan nie rozumie. - Ruskin zmrużył oczy. - Tu, w górach, mamy niepisane prawo, że jeśli komuś zginie kilka sztuk ze stada, wsiada się w samochód i szuka ich. Nikt nie zmienia praw, które panują tu od wieków. Z pewnością nie zrobi tego żaden obcy!

Ale Peter nie słuchał. Przyglądał się dokładnie wielkiemu kamieniowi, który zdaniem Janie był ołtarzem druidów. Szukał wzrokiem z maltretowanego, poszarpanego przez kruka królika. Ale zwierzę zniknęło, sznur także. Zostały tylko plamy zaschniętej krwi. Królik zniknął

podobnie jak kot! Czy pojawi się tutaj z powrotem? Tym razem mogły go dopaść drapieżniki, na przykład lis. Jednak Peter wiedział, że to nie był lis. Znowu spojrzął na Ruskina. Ale na szarym materiale jego ubrania nie było nawet kropelki krwi.

- Ubiegłej nocy dzwoniłem do pana - głos Petera drżał z gniewu.

- Dzwonił pan? Dlaczego? - Wzruszył ramionami i odwrócił się.

- Mój syn nie wrócił do domu.

- Nic nie wiem na ten temat. Na prośbę pana Hughesa podwoziłem go do domu.

- Odnaleźliśmy go tutaj. Jego króliczek był przywiązany do tego kamienia. Ktoś go zabił, podobnie jak wcześniej kota.

- Dziwne rzeczy dzieją się w tych górach - powiedział tajemniczo Ruskin. - Miejscowi ludzie nauczyli się z nimi godzić. Tacy jak pan mogą mieć z tym problemy.

- Ja zawsze pytam, kiedy czegoś nie wiem. - Peter zrobił krok do przodu, zaciskając pięści. - I jeszcze jedno, panie Ruskin, nie podobały mi się te wszystkie bajki, które opowiadał pan memu synowi.

- Mówiłem mu tylko o tym, o czym wie każde dziecko we wsi. - Ton głosu Ruskina był wciąż tak samo opanowany.

„Do diabła, czy ten facet nigdy nie wpada w złość! Czy zawsze jest taki pewny siebie i patrzy na wszystkich z góry?”

- Inne dzieci wcale się nie boją, po prostu trzymają się z daleka od Hodre i wiedzą, że w ten sposób nic się im nie stanie.

- Cóż, mnie się pan tak łatwo nie pozbędzie. Nie wierzę w te bzdury i nie dam się zastraszyć. Czy rozumie pan, panie Ruskin?

- Ja?

- Pan, właśnie pan. Zamierzam tu zostać i jeśli cokolwiek się jeszcze wydarzy, komuś może się stać krzywda.

- Czy to groźba, panie Fogg? - Na twarz Ruskina wystąpiły rumieńce. Peterowi wydawało się, że Ruskin zadrżał, ale nie był tego zupełnie pewien.

- To zależy od sytuacji. Od tej pory będę tępił każdego, kto pojawi się na tym miejscu bez mojej zgody.

- Muszę odnaleźć moje owce. Nie mogę zostawić ich tutaj o tej porze roku. Wkrótce nadejdą zamiecie. Sam się pan o tym przekona. Zanim zdąży się pan zorientować, pański dom będzie zasypyany aż po sam dach.

- Dobrze, niech pan poszuka swoich owiec. Ale następnym razem proszę mnie uprzedzić.

Tim Ruskin odwrócił się bez słowa i zszedł z góry. Jego ciężkie buty rozgarniały popiół. Peter obserwował go, dopóki nie zniknął we mgle. Miał nieprzyjemne uczucie, że właśnie zgubił trop wiodący do obozu wroga. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że Ruskin nigdy nie będzie pytał nikogo o zgodę. Przyjedzie, kiedy będzie chciał. Udzielny książę,

który nie pozwoli sobie odebrać tego, co już uznał za swoje. Po południu udało się Peterowi posiedzieć trochę przy biurku i zmusić do napisania kilku akapitów. Pocieszał się, że początek zawsze był trudny, a później będzie mu szło lepiej. Wyrzął przez okno. Na dworze zmierzchało. Na tle czystego nieba widział górzysty krajobraz, częściowo zamazany we mgle. Nagle jego uwagę przykuł jakiś ruch na horyzoncie. Jelenie! Tym razem stado było dwa lub trzy razy większe od tego, które Fogg widział poprzednio. Stojący na czele stada, duży jeleni trzymał się w pewnej odległości od reszty zwierząt. Nawet z daleka było widać, że jest czujny. Coś niepokoiło zwierzęta. Być może przez ten cały dzień odpoczywały w dużym lesie, a teraz, kiedy zrobiło się ciemno, wyszły znaleźć coś do jedzenia. Wkrótce zrobiło się ciemno i Peter nie mógł już dłużej ich obserwować, ale wiedział, że jelenie wciąż tam były. Dlaczego przybywały do Hodre z nadejściem zimy, kiedy w dolinach było więcej żywności i łatwiej było się schronić przed zimnem? Być może w górach jelenie czuły się bezpieczniej. Niewątpliwie było tu mnóstwo kryjówek i łatwiej im było uciekać przed myśliwymi wśród zalesionych wzgórz niż na nizinach. Ostatnio Peter czytał w jakiejś gazecie artykuł, mówiący o tym, że w niektórych częściach Wielkiej Brytanii jest wielu kłusowników polujących na jelenie. Całe gangui uzbrojone w strzelby polowały na jelenie, oświetlając sobie las samochodowymi reflektorami. Nie znali żadnej litości. Ranne jelenie uciekały, a potem upadały

gdzieś w głębokim śniegu, aby tam czekać na śmierć. Gangi prześcigały się w zabijaniu zwierząt i osiągały coraz większe zyski. Kłusownicy byli zdecydowani na wszystko. Wymyślali najróżniejsze fortele, aby uciec policji i leśnikom. Dla nich liczyło się tylko bogactwo. Kiedy mieli pieniądze, zapominali o niewygodach tego zajęcia. „W Hodre jelenie są bezpieczne - pomyślał Peter. - Tutejsi kłusownicy interesują się tylko kotami i królikami”. Wieczorem znowu zabrał się do pracy. Tym razem szło mu dużo lepiej. Zapisane kartki rekompensowały nieobecność Janie i Gavina. W pewnym stopniu Janie wyświadczyła mu przysługę, ponieważ Peter, będąc sam, skończył tę książkę o wiele szybciej. Być może będzie mógł wyjechać stąd już późną wiosną. Pracował bez przerwy prawie do północy. Mógłby pracować dłużej, ale wiedział z doświadczenia, że nieprzespana noc da mu się jutro we znaki. Zrobił sobie filiżankę kawy i usiadł przy kominku. To był dla Petera najgorszy czas, kiedy rozmyślał o wszystkich wydarzeniach ostatnich dni. Znowu zaczynał czuć się nieswojo. Janie powinna zatelefonować. Być może wciąż jeszcze się gniewała i nie chciała pierwsza się odezwać. Było jednak zbyt późno, aby mógł zadzwonić. Jej rodzice na pewno już spali. Wciąż się wahał: zadzwonić czy nie. W końcu wstał. Wiedział, że w końcu będzie musiał zadzwonić, inaczej wykończy się nerwowo. Przychodziły mu do głowy najgorsze myśli. Zdawał sobie sprawę z tego, że w ten sposób często rozpadają się małżeństwa. Najpierw czasowa



separacja, a kiedy przywykną do samotności, nie będą chcieli być razem. Tak naprawdę wcale nie musiał tutaj zostać. Mógł pisać książkę w tysiącu innych, być może przyjemniejszych, miejsc. Nie musiał też wplątywać się w miejscowe spory. Poszedł do hallu, aby zadzwonić. Wykręcił zaledwie trzy cyfry, kiedy zauważył, że coś jest nie w porządku. Nie było sygnału. Niepokój Petera wzrósł. Wykręcił ponownie i czekał, ale czuł, że to nie ma sensu. Do diabła, aparat nie działał. Poczł nagle, że w tym odludnym miejscu nie jest sam. Ogarnął go strach. Obejrzał się, czy drzwi są zamknięte na zasuwę. Upewnił się też, czy na dole pozamykał okiennice, a potem poszedł na górę. Miał nadzieję, że tam poczuje się pewniej. Usłyszał wiatr za oknem, miękkie uderzenie o drzwi i okna. Wydawało mu się, że to nagły atak zimy. Nagle zrobiło się chłodniej. Lodowaty podmuch zdawał się docierać nawet do wnętrza domku. Jesień zmieniła się nagle w mroźną, górską zimę. Poczł neodpartą chęć, by usiąść za kierownicą saaba i odjechać stąd jak najdalej. „Uważaj! Telefon nie działa. Nie wychodź z domu. Nie wiesz, co czai się na zewnątrz, a samochód może się zapalić!” To bzdury. Odpędzał upiorne myśli, które przychodziły mu do głowy. Był po prostu przemęczony. Wiedział przecież, że na zewnątrz nie było nic, co mogłoby mu zagrozić. A jednak jeszcze raz sprawdził drzwi i okna. Poszedł na górę. Musi się opanować, bo inaczej strach całkowicie zawładnie jego umysłem. Zamknięty w małym domku obawiał się

klaustrofobii, a jednocześnie lękał się wyjść na zewnątrz. Jeśli się podda, oszaleje. Położył się na łóżku i jeszcze raz próbował sam siebie przekonać, że wszystko jest tylko wytworem wyobraźni. Jednak, tak czy inaczej, był tu zupełnie sam, uwięziony i odcięty od świata.

Peter nigdy nie lubił spać sam. Kręcił się i przewracał z boku na bok. Wreszcie zmęczony zapadł w niespokojną drzemkę. Przez sen wyciągnął rękę, aby przytulić Janie, a po chwili cofnął dłoń, nie znalazłszy nikogo obok siebie. Obudził się rano. Musiał spać bardzo długo, bo w pokoju było już bardzo jasno. Uniósł się na łokciach, otworzył oczy i natychmiast je zamknął, oślepiiony silnym blaskiem wpadającym przez okno. Poczul, że coś jest nie w porządku. Było zbyt jasno. Listopadowe słońce nie mogło być tak mocne. Zmrużył oczy, które zaczęły boleć i łzawić, kiedy próbował patrzeć w okno. Ale to jedno spojrzenie wystarczyło, by zorientować się w sytuacji. Na dworze panowała jeszcze ciemność, a światło wpadające do sypialni było sztuczne. Zastanawiał się, skąd mogło pochodzić. Tak! To przecież światła samochodu. Ktoś musiał zatrzymać się na drodze i skierować światła reflektorów prosto w okno sypialni. Może to znowu land rover? Nagle zrobiło się zupełnie ciemno i cicho. Nawet wiatr ustał. Peter podszedł do okna i wpatrywał się w nieprzeniknioną, górską noc. Przed oczyma wciąż mieniły mu się kolorowe błyski. Wtedy znowu zrobiło się jasno.

Strumień światła poraził go. Zasłonił oczy. Boże! Co się tam dzieje? Odsłonił oczy i zmusił się do patrzenia. Światło nie docierało tu z drogi prowadzącej do Hodre. Samochód, może land rover, musiał być zaparkowany gdzieś na zboczu. Ktoś celowo chciał przerwać mu sen. Przestraszyć go i wypłoszyć z Hodre. Peter ubrał się w oka mgnieniu. Gniew dodawał mu energii. Ci dranie znowu tu byli! Ci sami, którzy zabili zwierzątko Gavina i podpalili drzewa otaczające kamienny krąg. Do diabła! Duchy nie jeżdżą land roverami i nie używają reflektorów. Musi podejść do samochodu i zapamiętać jego numer. Wtedy będzie mógł przedstawić policji konkretny dowód. Chociaż nie było już tak zimno, ubrał płaszcz. Zwyczajna listopadowa noc. Zabrał latarkę, ale nie zapalił jej - nie chciał się zdradzać. Był pewien, że za chwilę światło znów się pojawi, ale na razie nie potrzebował go - aż nazbyt dobrze znał ścieżkę prowadzącą do kamiennego kręgu. Przez chwilę miał wrażenie, że czas się zatrzymał. Może mu się to wszystko śni? Nagle strumień światła znowu przeciął ciemności. Peter przyśpieszył. Dobiegł już do wypalonych drzew wokół kamieni, kiedy znowu nad wszystkim zapanowała nieprzenikniona ciemność. Podświadomie zaczął się skradać. Każdy szelest przyśpieszał bicie serca. Przez moment bał się, ale gniew wkrótce stłumił strach. Właśnie wchodził na górę, kiedy zbocze ukazało się w pełnym świetle. Tym razem była to prawdziwa iluminacja. Widział dokładnie każdy szczegół: ciemne skały pokryte popiołem

i niesamowite, nadpalone pnie sosen, które zdawały się iść do przodu w jakimś upiornym pochodzie, dalej ciemna ściana lasu, kryjąca w sobie armię złych mocy. Wszystko było oświetlone niejednym, ale trzema krzyżującymi się strumieniami światła. Wokół panowała złowieszcza cisza. Peter osłonił oczy, próbując dojrzeć źródło światła. Przyśpieszył kroku, czując swąd spalenizny. Miał już gotowy plan działania. Skoro były to samochody, musieli być też ludzie. Musi przyłapać ich na gorącym uczynku. A może lepiej jednak zawiadomić najpierw policję? Nie, telefon nie działa, a jeśli pojedzie saabem, schowani w mroku mężczyźni usłyszą go i uciekną. Jeśli nie chciał ukrywać się w domu, musiał działać. Wyczuł raczej niż usłyszał, że coś w pobliżu poruszyło się. Skulił się, wstrzymując oddech. Czekał. Wtedy przyszło mu do głowy coś, o czym wcześniej nie pomyślał: sabbat czcicieli czarnej magii. Tak. To najlepiej pasowało do tego miejsca: samotny kamienny krąg, w którym niegdyś druidzi odprawiali swoje obrządki. Dwie krwawe ofiary. Najpierw kot, potem królik. Kto będzie następny? Peter nie wierzył w żadne nadprzyrodzone moce, ale wiedział, że ci ludzie mogą być bardzo niebezpieczni. Muszą pozbyć się Foggów, żeby móc spokojnie odprawiać swoje obrzędy. Peter poczuł się niemal winny wobec Ruskina, Bostocka i Petersa, że bezpodstawnie ich podejrzewał. Została jeszcze uraza do Wilsonów, za to, co zrobili Gavinowi, ale w

każdym razie nie wiązał ich z tymi sztuczkami.

Tak, prawdziwi winowajcy znajdowali się tu, w pobliżu kamiennego kręgu. To oni robili co mogli, aby wystraszyć Petera dzisiejszej nocy. Być może wiedzieli już o wyjeździe Janie i Gavina i teraz wszystkie swoje wysiłki skupili na nim. Przecięli linię telefoniczną i użyli silnych reflektorów.

Jedno światło zabłysło nagle około dwóch jardów poniżej kamiennego kręgu i zaraz zgasło. W kilka minut później odpowiedziało mu drugie, ale znacznie bliżej. Kto nadawał te sygnały? Peter wpatrywał się w ciemność aż do bólu. W skroniach czuł pulsowanie. Wtedy usłyszał coś. Tym razem był to konkretny dźwięk, przypominający odgłos stąpania. Peter zacisnął dłoń na latarce. Wahał się, gdyż wiedział, że jeśli ją zapali, zdradzi się. Niespodziewanie oślepił go silny strumień światła. Cofnął się, zasłaniając twarz dłońmi. Upuścił latarkę. Kiedy schylił się po nią, poczuł w tyle głowy tępy ból, ujrzał tysiące gwiazd. Ból przeszywał mu czaszkę. Krzyknął. Przed oczami zamigotały mu czerwone plamy. Potem zapadła ciemność. Więcej nic nie pamiętał.

Peter stopniowo odzyskiwał przytomność. Kiedy obudził się, jak mu się zdawało, w przyciemnionym pokoju, przypomniał sobie dzieciństwo, kiedy jako chłopiec chorował na odrę. Wtedy też bolała go głowa i światło raziło w oczy. „Gdzie ja jestem, u diabła?” Zorientował się, że nie znajduje się w swojej sypialni. Leżał na czymś twardym i niewygodnym. Ostre kamyki i popiół przyłgnęły do skóry. Zakaszał. Powoli przypomniał sobie wszystko. Mężczyźni z reflektorami. Wiedzieli, że przyjdzie. Bawili się z nim przez cały czas. Prowadzili światłem, dokąd chcieli. Czekali na niego, żeby dać mu nauczkę. Następnym razem może się to skończyć inaczej. Następnym razem... Poszukał po omacku i odnalazł latarkę. Sprawdził ją, na szczęście działała. A więc napastnicy odeszli. Na wszelki wypadek oświetlił kamienny krąg.

Nastąpił koszmarny powrót do domu. Co pewien czas odczuwał zawroty głowy. Bał się, że upadnie i stoczy po ostrych skalach w dół zbocza. W końcu dotarł na miejsce. Wszedł do środka i zarygłował drzwi. Zapalone światło spotęgowało ból. Popatrzył na swoje odbicie w lustrze nad zlewem. Był cały wymazany popiołem, ale nie znalazł żadnej rany. Usiadł w fotelu. Potrzebował teraz odpoczynku. Jutro poczuje się lepiej, a wtedy skontaktuje się z Calvertem. Sprawy zaszły za daleko. Czas, żeby policja wkroczyła do akcji. Zasnął z wyczerpania i obudził

się po dziewiątej. Umył się, wyczyścił ubranie i zrobił kawę. Na dworze delikatne promienie słońca oświetlały odległe wzgórza. Wokół było cicho i spokojnie. Patrzył przez okno dłuższą chwilę. Zastanawiał się, gdzie mogą być jelenie. Z pewnością nie w lesie Ruskina. Wczorajsze światła musiały je stamtąd wypłoszyć. Pomyślał, że nie może stać tutaj bez końca i rozważać, co jeszcze się wydarzy. Przede wszystkim powinien pojechać do Woodside i zgłosić uszkodzenie telefonu, a potem wstąpić na posterunek policji. Wiedział, że dziś już niewiele napisze. Wyszedł do ogrodu, starannie zamknąwszy za sobą drzwi. Spojrzał w kierunku lasu. Na łące pasło się kilka owiec, ale nigdzie nie było śladu jeleni. Saab stał przed domem. Znakomity, szybki, szwedzki samochód. Teraz jednak znajdował się w oplakanyim stanie. Peter patrzył na niego z niedowierzaniem i poczuł silny ból w skroniach. Wszystkie cztery opony saaba zostały przebite! Peter nawet nie zaklął. Siły go opuściły, a świadomość, że nie może dostać się do Woodside, podziałała jak mocne uderzenie. Zamknął oczy. Zapraęnął znowu znaleźć się w Perrycroft. Być zwyczajnym, szarym człowiekiem i żyć spokojnie z żoną i synkiem. Niestety, było to niemożliwe. Znajdował się w zabitej deskami dziurze, a jego jedyny środek łączności ze światem stał przed nim z podziurawionymi oponami. Obejrzał koła dokładnie. Wszystkie poprzecinano jakimś ostrym narzędziem. Poczul, że zawroty głowy wróciły, a przed oczami znowu zamigotały kolorowe plamy.

Nie miał innego wyjścia niż godzinny spacer do Woodside.

Peter zastanawiał się, jak można pisać tak wolno. Komisarz Calvert z namaszczeniem kreślił każdą pojedynczą literkę, nie zapominając o żadnej kropce czy przecinku. Peter uważał, że raport powinien zawierać dokładny przebieg wypadku, ale to co pisał Calvert, wyglądało raczej na powieść.

- Zechce pan podpisać, panie Fogg.

Peter wyciągnął pióro. Nie miał ochoty czytać tego, co podpisywał. Spotkanie trwało już prawie godzinę i jak dotąd nie przyniosło żadnego efektu.

- W porządku. - Calvert schował papiery i długopis do teczki. - Porozmawiam na ten temat z szefem i poczynię stosowne kroki.

- Ale co to wszystko znaczy? - zapytał Peter. - Nie chodzi mi o próby wypędzenia nas z Hodre, żona z synem i tak wyjechali, ale o to, co działo się dzisiejszej nocy.

- Sądzę, że to kłusownicy. - Calvert w zamyśleniu gładził podbródek.

- Kłusownicy?

- Tak. Używają lamp, żeby wypłoszyć króliki i zające. Myślę, że wczoraj polowali właśnie w Hodre, a pan dość nieoczekiwanie wszedł im w drogę.

- Ma pan na myśli Bostocka i Petersa? Tych dwóch, którzy załatwili leśniczego?

- Nie. Nie sądzą, żeby to byli oni, chociaż oczywiście sprawdzę, co robili dzisiejszej nocy. Jedyne światło, jakiego używają, to księżyc.



Zastawiają sieci, a potem spuszczaają psy, żeby zapędziły dla nich króliki i zające. Czasem używają siideł, ale nigdy pistoletów czy lamp. Może mi pan wierzyć.

- Jednak przypuścmy - Peter pochylil się do przodu - że to nie byli kłusownicy. Zabito kota i królika. Oba przypadki przypominały jakieś krwawe ofiary. Wie pan, że szerzy się krąg czcicieli szatana.

- Ale nie tutaj. To są problemy wielkich miast. - Calvert potrząsnął głową. Mieszkał na wsi już od lat i wiedział, że odpowiedzi należy szukać gdzie indziej. - To kłusownicy, panie Fogg. Para królików kosztuje na rynku półtora funta. Wiadomo, że używając lamp i broni można złapać nawet czterdzieści sztuk w ciągu nocy. Nie sądzę, by był jakiś związek pomiędzy telefonami, spaleniem zwierząt, a dzisiejszą nocą. Myślę, że jest pan pod obstrzałem kilku grup kłusowników, walijskich nacjonalistów i chuliganów. W każdym razie będziemy patrolować te okolice...

Peter słyszał już wcześniej podobne obietnice i nic z tego nie wynikło.

- Podwiozę pana do Hodre. - Calvert wstał. - Muszę zajrzeć do jednego farmera. Psy rozszarpały mu kilka owiec. To prawie po drodze. Na pewno wkrótce zjawią się u pana mechanicy z nowymi oponami. Linia telefoniczna też powinna być naprawiona. Tutaj ludzie doskonale wiedzą, czym jest telefon, zwłaszcza na takim odludziu jak Hodre.

Dreszcz przeszedł Petera. Oby tylko komisarz miał rację. Ostatnio aż nazbyt często zdarzały się nagłe wypadki. Kiedy policyjny wóz dojechał do Hodre, Peter zobaczył, że saab nadal jest bezużytecznym wrakiem. Nie było też śladu żółtej furgonetki, która zwykle zwiastowała przybycie montera naprawiającego telefony.

- Sądzę, że pogotowie wkrótce nadjedzie. - Calvert zauważył zniecierpliwienie Petera. – Wygląda na to, że lada chwila spadnie śnieg.

Peter drgnął. Daleko na zachodzie gromadziły się ciemne chmury. Otworzył drzwi.

- Może nie będzie to nic strasznego.

- Może - mruknął Calvert, ale na jego twarzy widać było niepokój.

- No, muszę już jechać. Proszę pamiętać. Cokolwiek będzie się działo na zewnątrz, nie wolno panu w nocy wychodzić z domu. Podjadę tu jeszcze, gdy się ściemni.

„Może” - pomyślał Peter, kiedy policjant odjechał. Coś miękkiego i puszystego spadło mu na policzek, a potem na płaszcz. Płatki śniegu! Lodowaty wiatr wiał coraz silniej. Odległe chmury zdawały się szybko poruszać w stronę Hodre. Po chwili dotarły prawie do wielkiego lasu. Śnieżycą zbliżała się niczym gigantyczny potwór o białych, miękkich mackach.

Peter wszedł do domu. Podniósł słuchawkę telefonu, chociaż wiedział, że to strata czasu. Aparat milczał jak zakłęty. Ogień w kominku

dawno wygasł, a on nie miał ochoty rozpalać go od nowa. Wolał pozostać w płaszczu. Do diabła! Nie wytrzyma w tym zamknięciu. Oszaleje, jeżeli nie wyjdzie i nie przewietrzy się. Chciał kupić we wsi buteleczkę aspiryny, ale zapomniał. Resztkami sił starał się zachować zdrowy rozsądek. Nie był w stanie pamiętać o wszystkim. Wyszedł na dwór. Śnieg rozpadał się na dobre. Wiatr zaciął ukośnie w twarz. Zanim mężczyzna doszedł do ogrodu, był już pokryty cieniutką warstwą białych, delikatnych płatków. Niebo stało się groźne i ciemne. Peter nie mógł się powstrzymać od wyglądania na drogę. „Co, u diabła, dzieje się z mechanikiem i monterem?” Spojrzał na zegarek: trzecia po południu. Za godzinę będzie już ciemno. Calvert musiał niedokładnie opisać drogę. Chociaż fachowcy na pewno wiedzieli, gdzie jest Hodre. Przecież pracownicy urzędu telekomunikacyjnego mogli odnaleźć każdy aparat na podstawie numeru. Może coś im się przytrafiło po drodze? „Boże, tutaj wszystko jest możliwe”. Peter skierował się ku schodom do szopy. Padało zbyt mocno, żeby stać na drodze, a poza tym ze schodów mógł lepiej obserwować okolicę. Kiedy jednak wszedł na górę, zorientował się, że śnieg otulił świat, podobnie jak wcześniej mgła. Peter z całej siły wyteżył wzrok, żeby ujrzeć pierwszy zakręt, znajdujący się około stu jardów od domu. Żywopłaty wzdłuż drogi były białe, tak samo jak wszystko dookoła. Czy zaczęły go boleć od wpatrywania się w tą bezkresną biel. Może powinien skonsultować się z lekarzem? Uderzenie i -

silne światło mogły spowodować jakie ukryte urazy. Cóż, w tej chwili i tak nie mógł nic zrobić. Bez telefonu i samochodu nie mogło być mowy o wydostaniu się z tego zasypanego śniegiem odludzia. Otworzył drzwi od szopy i wszedł do środka. Nie było tu tak zimno jak na zewnątrz i nie padał śnieg. Poza tym, jeśli ktokolwiek tu przyjedzie, powinien usłyszeć nadjeżdżający samochód. Ponure, przesiąknięte zapachem stęchlizny miejsce działało uspokajająco. Panowała tu cisza jak w kościele i Peter poczuł się rozluźniony. Przynajmniej na chwilę mógł zapomnieć o przytłaczającej rzeczywistości. Powoli oczy przywykły do półmroku. Zaczął rozglądać się po wnętrzu szopy i jego wzrok padł na kupę starego żelastwa. Wtedy właśnie zobaczył karabin. W pierwszej chwili pomyślał, że to kawał zardzewiałej rurki, ale kiedy dokładniej się przyjrzał, zobaczył skręcone drutem łożysko karabinu. Poszedł i wyciągnął broń ze złomu. Nie wierzył własnym oczom. To była naprawdę doskonała zdobycz. Tak... Kaliber dwanaście. Peter od razu poczuł się bezpieczniej. Obie lufy były ciemnobrązowe. Jednak widać było, że karabin nie jest zupełnie skorodowany. Peter zdmuchnął kurz z luf. Stara broń, chociaż bezużyteczna, dawała wrażenie siły, której tak bardzo potrzebował. Obejrzał dokładnie karabin i po chwili z zadowoleniem stwierdził, że jest sprawny. Trzeba było tylko go wyczyścić. Kiedy jeszcze, ku swemu zdziwieniu, przypadkowo natrafił na skrzynkę z nabojami, poczuł się niemal szczęśliwy.

Otworzył pojemnik i uważnie przyjrzał się nabojom. Były może nieco wilgotne, ale godzinka przy kominku powinna przywrócić im właściwą moc. Wszedł na dwór, dźwigając w jednej dłoni karabin, a w drugiej skrzynkę z amunicją. Śnieg sypał nieprzerwanie, a na niebie nie można było dostrzec nawet maleńkiej przerwy w gęstej pokrywie chmur. Ani mechanicy, ani monterzy nie dotrą tu już dzisiaj, ale Peter nie przejmował się tym. Tym razem on miał przewagę. Jeśli ktoś będzie szukał guza dzisiejszej nocy, spotka się z bardzo miłym przyjęciem!

Ochota do pracy minęła mu zupełnie. Czuł wprawdzie, że gdyby tylko zechciał, mógłby robić niemal wszystko, ale świadomość, że nie musi się spieszyć, działała rozleniwiająco. Miał przed sobą cały rok. Cóż znaczył nawet tydzień przerwy? Zwłaszcza, że pojawiły się ważniejsze sprawy, z którymi należało się uporać. Dosyć wcześnie zrobiło się ciemno, śnieg zaklejał szyby białym puchem. Peter zasunął zasłony. Teraz nie widział już szalejącej na dworze śnieżycy. Słyszał tylko wyjący w kominie wiatr i miękkie pacnięcia śniegu o drzwi i okno. Właściwie było mu zupełnie dobrze. Nie musiał nigdzie wychodzić, a w spiżarni miał dosyć jedzenia na co najmniej dwa tygodnie. Poza tym znalazł karabin i nie obawiał się już niczego. Zjadł trochę, a potem zabrał się do czyszczenia broni. Przecierał lufy oliwą, dopóki rdza nie zniknęła. Metal zamigotał pięknym blaskiem. Z zadowoleniem stwierdził, że

naboje pasują do magazynku. Dorzucił dREW do ognia, zrobił sobie jeszcze jedną filiżankę kawy i położył broń na stole. Znalezisko całkowicie zmieniło sytuację Petera. Z zaszcutego zająca stał się myśliwym. Miał wrażenie, że będzie zawiedziony, jeżeli nikt nie zjawi się dzisiejszej nocy. Była jedenasta trzydzieści. Podszedł do okna i odchylił zasłonkę. Szyba była całkowicie przysypana śniegiem. Poszedł na górę i otworzył okno sypialni. Widok, który ukazał się jego oczom, zaskoczył go. Śnieg już nie padał, a na czystym niebie migotały gwiazdy. Było tak cicho i spokojnie. Mieniący się, biały krajobraz przyciągał wzrok. Wierzchołki żywoplotów rosnących wzdłuż drogi były ledwo widoczne wśród miniaturowych gór. Śnieg tak dokładnie przysypał krzaki głogu, że jak okiem sięgnąć, wszędzie widniała tylko bezkresna biel. Nawet las zdawał się być tylko dalekim pasmem gór, pokrytym białym puchem. Peter z trudem rozpoznał sylwetkę saaba przed bramą.

- O Boże! To dopiero śnieżycy! - powiedział głośno, chcąc przerwąć upiorną ciszę. Jeszcze chwila i uwierzy, że znalazł się w królestwie mrozu i śniegu.

Świat dookoła był piękny, ale złowrogi. Peter wiedział, że lekki dreszcz nie był spowodowany zimnem. Wszystko wyglądało tak, jak opisywała Janie - czuł, że ktoś czai się gdzieś tuż tuż i czeka... Na co? Podświadomie wyczuwał czyjąś obecność, chociaż nie mógł nikogo dostrzec. Niespodziewany ruch w cieniu uschniętego wiązu sprawił, że

Peter sięgnął po broń leżącą na starym kufrze przy oknie. Po chwili zaśmiał się z ulgą. To tylko jeleń. Ten sam dostojny przewodnik stada, którego widział parę dni temu. Tylko że teraz potężne zwierzę wyglądało raczej żałośnie niż majestatycznie. Nie kroczyło już z dumnie podniesioną głową, chociaż najwyraźniej łowiło uszami najdrobniejszy szelest, czułe na najmniejszą oznakę zbliżającego się niebezpieczeństwa. Biedne zwierzę z trudem przedzierało się przez zaspę. W pewnym momencie jeleń o mało nie upadł. Nie zatrzymywał się, aby sprawdzić, czy ktoś lub coś się nie zbliża, tylko rozpaczliwie brnął w stronę lasu. Przed czym lub przed kim uciekał? Dlaczego chciał się schronić w lesie?

- Biedne zwierzę jest ranne. - Peter rozumiał niespodziewanie, dlaczego ludzie żyjący samotnie mówią do siebie - chcą usłyszeć ludzki głos.

Jeleń nie złamał nogi, bo w takim wypadku nie podpierałby się na niej, trafiwszy na równy grunt. Prawdopodobnie pokaleczył się ukrytym pod śniegiem drutem albo okruchami szkła. Biedne stworzenie. Było dostojnym przewodnikiem stada, a teraz zostało samotnym wygnańcem. W stadzie znalazł się pewnie inny jeleń, który, czując słabość dotychczasowego przewodnika, wyrzucił go ze stada. Teraz ranne zwierzę musiało walczyć o przetrwanie i zмагаć się z zimą, która pojawiła się tak szybko i niespodziewanie. Peter patrzył ze smutkiem na oddalającego się jelenia. Stada nigdzie nie było. Prawdopodobnie zwierzęta

dotarli do lasu wcześniej. Tam mogły się ukryć przed wrogiem i przed zimnem. Peter wzdrygnął się na myśl, jak okrutna bywa czasem natura. Poczul, że jest mu zimno. Chciał zamknąć okno, ale rama niespodziewanie stawiała opór. „Do diabła! Przymarzło!” Z trudem przymknął okno, ale bojąc się, by szyba nie pękła, nie domknął go dokładnie. Pozostała mu nadzieja, że jutro słońce stopi lód. „To pierwsza lekcja” - powiedział do siebie w myślach. Nie należy otwierać okna, gdy na dworze jest silny mróz. Było zbyt zimno, aby się całkowicie rozbierać. Zdjął więc tylko marynarkę i džinsy i wsunął się pod kołdrę. Światło gwiazd odbijało się od śniegu i w pokoju panował łagodny półmrok. Kiedy pościel się nagrzej, będzie całkiem przyjemnie. Gdyby tylko Janie była razem z nim, czułby się jak w raju. Ale był sam. Drzemał, podświadomie nasłuchując. Bał się zasnąć. Powtarzał sobie, że to nie ma sensu, bo oni nie przyjdą dziś w nocy. Drogi były zasypane, a zaspasy zbyt wysokie, aby można było przez nie przejść. Jeleń potrzebował wiele czasu, żeby dotrzeć tutaj z kamiennego kręgu. Nawet wyznawcy czarnej magii byli bezsilni wobec zimy. Będą musieli odprawiać swoje rytuały w domu. Pewnie namalują kredą tajemnicze znaki na podłodze pokoju. Jak oni to nazywają? Aha! Pentagram. Do diabła! Mieli szczęście. Następnym razem, kiedy tu przyjdą, będzie czekał na nich za karabinem.

Zapał w niespokojną drzemkę. Jakies koszmary zakłócały mu odpoczynek.



Peter z trudem otworzył okno, które zaskrzypiało przeraźliwie. Kawałki ułamanego lodu spadły na ziemię. Położył karabin na parapecie. Początkowo nie dostrzegł niczego prócz śnieżnych zasp. Nie było widać nawet najdrobniejszego ruchu. Tylko cienie. Żadnej wyraźnej postaci, człowieka lub jelenia, tylko mnóstwo cieni. A jednak coś się poruszało. Widział to, a jednocześnie nie widział, zupełnie jak kręgi na wodzie, które znikają równie szybko, jak się pojawiają. Poczul dreszcz. Zmrużył oczy, ale nie dojrzał żadnego kształtu. Wyglądało to zupełnie tak, jakby śnieg się poruszał. Jednak wiatr zupełnie ucichł, a wszystko było zbyt zmarznięte, aby mógł zawirować chociaż jeden płatek śniegu. I wtedy zobaczył to. Ciemna masa pod uschniętym wiązem. Nie był to śnieg, bo się poruszał, a poza tym nie był biały. Ledwo widoczny cień miał szare zabarwienie. Przesuwał się lekko i cicho po zmarzniętej powierzchni. Peter czuł wzrastające napięcie. Całe ciało było gotowe do ataku. Pochylił się nad karabinem. Usiłował wytłumaczyć sobie to dziwne zjawisko, ale umysł odmawiał pomocy. Kształt, który widział, był niewątpliwie ludzki, chociaż przypominał nieudolnie ulepionego bałwana. Bez-noga masa miała wyraźną głowę. Nagle Peter zorientował się, co to takiego. Postać była cała owinięta białą tkaniną. Twarz skrywał cień zwisającej płachty. O Boże! To nie mógł być człowiek! To coś zatrzymało

się, jakby czuło jego obecność i odwróciło w kierunku domku. Peter zadrżał, mając świadomość, że jest obserwowany. Czuł się zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy oślepiające światło wpadało przez okno do pokoju. Podświadomie przypomniał sobie dzieło malarza, które widział wiele lat temu. Nie mógł się mylić. Miejscowe plotki nie były tylko zabobonnymi bajkami. To coś, co znajdowało się przed nim, to autentyczny druid, który wrócił na swoje stare miejsce kultu w poszukiwaniu kolejnej ofiary! Paniczny strach sparaliżował Petera. Był jak zahipnotyzowany. Poczł w rękach zimną stal karabinu. To twoja jedyna broń - podpowiadał mu instynkt. Nacisnął spust. Huk wystrzału i błysk odrzuciły go do tyłu. I znowu instynkt dał znać o sobie. Musi przetrwać. Odszukał drugi spust. Błysk wydał się jeszcze silniejszy, przecinając śnieżny krajobraz pomarańczową smugą. Peter wstał i obserwował. Biała postać zachwiała się, prawie upadła. Nieludzki krzyk, przypominający skowyt rannego wilka, rozdarł powietrze. Potem wszystko zniknęło, zupełnie jakby piekielne moce przeniosły się w jakieś inne, bezpieczniejsze miejsce. Peter oddychał ciężko. Drżał tak silnie, że karabin wibrował na zamarzniętym parapecie okna. Wpatrywał się w śnieżną biel, usiłując dostrzec jakiś cień. Ale niczego tam nie było. Cokolwiek wcześniej widział, teraz zniknęło bez śladu. Wciągnął karabin do środka i zamknął okno na tyle, na ile pozwalały sople lodu. Usiadł ciężko na łóżku, opierając karabin na kolanach. Był gotów na wszystko. Jeśli

cokolwiek się poruszy, będzie strzelać. Strzelać bez końca. To była jego jedyna możliwość. Inaczej oszaleje.

Kiedy zrobiło się zupełnie jasno, wyszedł z domu. Wraz ze świtem jego strach zmalął, ale nie zniknął zupełnie. Dlatego właśnie wciąż nie rozstawał się z karabinem. Czyste niebo wskazywało na kolejny mroźny dzień. Oddech Petera zamieniał się w małe obłoczki pary. Zamarznięty śnieg zapadał się pod nim, utrudniając wspinaczkę. Rozejrzył się dookoła. Podobnie jak w nocy nie dostrzegł niczego prócz śnieżnej, martwej masy. Nawet kruk nie odzywał się wśród drzew.

Peter dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Nic dziwnego, żaden człowiek na jego miejscu nie mógłby spokojnie spać. Przystawał co kilka jardów, aby złapać oddech.

Wiąz stał niczym kamienny posąg, kryjąc w sobie nieznaną tajemnicę. Nigdy nie wyjawia tego, co widział dzisiejszej nocy. Tak, to było to miejsce. Sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt jardów od domu. O Boże!

Peter cofnął się, pragnął znaleźć się jak najdalej od tego, co zobaczył. Śnieżnobiałe kryształki lodu były zbryzgane krwią. Czerwony ślad ciągnął się kilka jardów, a dalej widać było już tylko czystą biel. Nic więcej. Żadnego śladu, który mówiłby, co to było.

O Boże, że też wcześniej o tym nie pomyślał. To na pewno ten ranny jeleń. Krew musiała kapać z poranionej nogi. Ostatecznie duchy nie mogą krwawić.

Peter odetchnął z ulgą, ale tylko na chwilę. Wciąż nie wiedział, czym była podobna do druida postać. Przecież nie mógł to być duch, który nagle zmaterializował się, aby potem zniknąć bez śladu, powrócić do świata zmarłych.

Peter odwrócił się, usiłując przyśpieszyć kroku. Raz po raz zapadał w zaspę albo ślizgał się na zamrożonej powierzchni. Strach powrócił ze zdwojoną siłą. Peter nadal czuł się nieswojo, mimo jasnego dnia.

Jeszcze zanim dotarł do domku, zdecydował, że stąd ucieknie. Nie przeżyje kolejnej nocy w tym strasznym miejscu. Zanim zapadnie zmierzch, będzie już daleko. Nie powstrzyma go nawet zepsuty samochód. Została mu już tylko jedna możliwość: iść na piechotę. Kiedy śniegi stopnieją, wróci po samochód i rzeczy.

Zwyciężyli go, ponieważ byli niewidzialni. Był bezsilny wobec mocy piekielnych.

Odchodził już, teraz, natychmiast!

Doszedł do pierwszego zakrętu, gdzie żywopłot tworzył przedziwne wzniesienia ze śniegu. Peter zapadał się po kolana, ale szedł. Dopiero kiedy wpadł w ogromną zaspę, która powstała w przerwie między krzakami głogu, zrozumiał, że podjął się czegoś niewykonalnego. Z trudem wy dostał się ze śniegu.

Spróbował podnieść się, ale stopy ześlizgiwały się w dół. Spadał, a biała masa otwierała się przed nim. Śnieg przysypywał go coraz grubszą warstwą. Tym razem Peter poczuł inny strach. Strach, że zostanie żywcem pogrzebany. Śmierć w białym grobie. Natrafił ręką na coś, co go zraniło. Przypomnił sobie krwawe plamy w kamiennym kręgu. Kolczasta gałąź głogu była jedyną deską ratunku. Jednak z trudem wydostał się na górę. Aby zmniejszyć swój ciężar czołgał się, nie zwracając uwagi na to, że kaleczy sobie ręce i kolana. Teraz miał tylko jedno wyjście - wracać do Hodre.

Po powrocie do domu obmył zadrapania i usiadł przed kominkiem, zastanawiając się, co robić dalej. Gdyby zaczął padać deszcz, śnieg najpierw zamieniłby się w błoto, a później zniknął. Niestety, nic nie wskazywało na zmianę pogody. Co, do diabła, robili ludzie, kiedy znaleźli się w takim miejscu jak Hodre, odcięci od świata zaspami wysokimi na dziesięć stóp? Dzwonili po pomoc, a kiedy pługi śnieżne nie mogły się do nich dostać, przylatywał helikopter.

„Tak, tylko ja mam nieczynny telefon! I nikomu nie przyjdzie do głowy przylecieć do mnie helikopterem”.

Wiedział, że musi coś zrobić, żeby się uwolnić. Działał zbyt pośpiesznie, dlatego mu się nie powiodło. Wybrał drogę, nie biorąc zupełnie pod uwagę, że były tam największe zasy. Trzeba znaleźć inną trasę. Jedyną jego szansą były miejsca, z których wiatr zmiotł śnieg.

W wyobraźni narysował plan marszu z Hodre do Woodside. Prawie prosta linia od domku do kamiennego kręgu... wzdłuż lasu...

Peter zadrzał na samą myśl o tym. „O Boże, nie!” Ale to było jedyne wyjście. Jeśli wyruszy natychmiast, dotrze do Woodside przed zmierzchem. Musi koniecznie wydostać się z tych gór, zanim zapadnie zmrok.

To miejsce jest nawiedzone przez diabła. Peter nie zamierzał ryzykować po raz drugi. Druidzi mogą robić w kamiennym kręgu, co tylko zechcą. Ruskin też. Peters i Bostock mogą sobie polować na króliki nawet co noc, jeżeli będą chcieli i jeżeli się odważą. Wilsonowie mogą jeździć tutaj bez końca. Hodre nic go już nie obchodziło. Odchodzi stąd.

Błade słońce oświetlało wzgórze, kiedy Fogg wychodził tylnymi drzwiami. Druga trzydzieści - najwyższy czas ruszyć w drogę. Wiele śniegu spadło z wierzchołków drzew, odsłaniając ciemny zarys lasu. Teraz już nic nie mogło się tam ukryć. Zresztą Peter nie zamierzał wchodzić do lasu. Będzie trzymał się skraju pastwiska należącego do Ruskina. Nieważne, czyj to teren. Nigdy tu już nie wróci. Przyjedzie tylko po swoje rzeczy.

Stok był bardzo śliski. Udało mu się posunąć dwa kroki do przodu, a potem zjeżdżał w dół. Nie miało to jednak znaczenia. Wiedział, że będzie się czołgał, jeśli tylko okaże się to konieczne. Zrobi wszystko, żeby się stąd wydostać przed zapadnięciem zmroku.

Może powinien zabrać ze sobą karabin. Nie, to byłoby zbyt niewygodne.

Udało mu się przebyć pierwszy etap. W ciągu dwudziestu minut dotarł do kamiennego kręgu. Starał się nie patrzeć na krwawe ślady, ale oczy podświadomie kierowały się w tamtą stronę. Brrr. Wzdrygnął się na myśl o tym, co tu się stało. Przypomniał sobie postać w bieli...

Teraz gnał go nie tylko strach. To była po prostu panika. Przeklinał, kiedy upadał i nie mógł się podnieść. Chciał biec, ale zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe. Mógł tylko ślizgać się niezdarnie. Jeśli złamie przy tym nogę, będzie leżał tu bezsilny. Nie pozostanie mu nic innego, jak tylko czekać na miłosierdzie tego, co czaiło się w ciemnościach.

Oddychał ciężko, kiedy dotarł do żywoplotu u podnóża stromego stoku wznoszącego się w kierunku lasu. Śnieg okazał się tu głębszy niż oczekiwał. Peter zapadał się po łokcie i wydostawał na powierzchnię, chwytając się wszystkiego, co tylko znalazło się w zasięgu rąk.

Peter był bardzo zmęczony. Czuł, że wszystko go boli, a miał jeszcze przed sobą daleką drogę. Stok stawał się coraz bardziej stromy. Szukał grudek śniegu, aby się na nich oprzeć. Spojrzał w górę. Las zdawał się patrzeć na niego złowrogo, jakby chciał go ostrzec. Nagły ruch na skraju lasu przeraził Petera. Zamarł w miejscu, wstrzymując oddech. Może to tylko złudzenie. Przecież drzewa się nie poruszają, nie ma żadnego

wiatru. To niemożliwe. A jednak na tle białej ściany sunęły cienie.

Jelenie! Peter odetchnął z ulgą. Rozstrojone nerwy znów dały znać o sobie.

Stado najwyraźniej przed czymś uciekało. Zwierzęta zbiły się w gromadę. Słońce świeciło im prosto w oczy, więc nie widziały Petera. Odwracały się w kierunku lasu, zupełnie jakby jakaś straszna bestia podążała na nimi.

Nie było wielkiego jelenia na przedzie. Peter przyglądał się stadu, ale wiedział, że nie zobaczy majestatycznego samca. Gdyby był z nimi, szedłby na czele, prowadząc zwierzęta w zgodnym szyku. Wiedziałby, że je obserwuje. Tymczasem zwierzęta uciekały w panicznym strachu, który był widoczny w każdym ich ruchu.

Ruszył znowu. Wspinaczka szła mu teraz lepiej albo tylko tak mu się wydawało. Rozejrzał się za jeleniami, ale nigdzie ich nie dostrzegł. Wypatrywał ich przez chwilę z niedowierzaniem. Przecież nie mogły wszystkie ukryć się z powrotem w lesie w ciągu jednej chwili. A jednak musiały. Nie mogły przecież zniknąć gdzie indziej. Były śmiertelnie przerażone, może dlatego poruszały się tak szybko.

Dotarł już prawie na samą górę. Zajęło mu to z pewnością co najmniej pół godziny. Czuł każdy mięsień, a biel śniegu przyprawiała go o ból głowy. Ale miał tylko jedno wyjście - iść dalej.

Zatrzymał się, żeby złapać oddech. Nie był tak sprawny, jak mu się



wydawało. Drżał nie ze strachu, ale z wyczerpania. To miejsce zniszczyło mu nerwy. Wciąż czuł potrzebę oglądania się za siebie, wbrew własnej woli. Powinien był wyjechać z Janie i Gavinem. Tak byłoby lepiej dla wszystkich.

Usłyszał kapanie. To śnieg topniał na drzewach. Zbliżała się odwilż. Ile czasu potrzeba, aby stopić te zwały śniegu? Nie mógł dojrzeć płotu, który oddzielał Hodre od lasu. Widział tylko długą, białą ścianę pokrytą najprzeróżniejszymi wzorami, których nie powstydzilby się żaden architekt czy rzeźbiarz. Natura była piękna i okrutna zarazem. Peter zobaczył ślady jeleni w przerwie między dwiema wysokimi zaspami. To dlatego nie widział ich z dołu. Teraz ruszył ich śladem. Może stado zaprowadzi go w bezpieczne miejsce.

Zatrzymał się i zawrócił. Nie, tam nie pójdzie. Trop jeleni prowadził prosto pod opuszczone gałęzie jodeł, a potem niknął w ciemnym lesie. Jelenie zawróciły, ponieważ nie znalazły innej drogi. Niżej był ostry stok i zdradliwe zejście do Hodre. Z drugiej strony - zasy wysokie na dziesięć stóp.

„Nie pójdę tam za nic w świecie - krzyk wydarł się z ust Petera. Był przerażony. - W takim razie będę musiał zawrócić! - pomyślał. - Nie! Zostanę tu, aż śnieg stopnieje”.

Peter zawrócił, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy. Może gdyby znał las, zaryzykowałby i spróbował dojść do farmy Ruskina. Ale nie znał lasu. Nigdy w nim nie był. Najprawdopodobniej zgubiłby się i

chodził w kółko. Bałby się krzyżeć, bo o n i mogliby go usłyszeć! Po-tem zapadłaby noc. Co przyniosłby ranek? Śmierć przez zamarznięcie? A może...

Musiał zawrócić, nie miał innego wyjścia. Poczł nagłą chęć, żeby wybuchnąć płaczem. Położyć się na śniegu i poddać losowi. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Czytał gdzieś, że człowiek zagrzebany w śniegu nie czuje zimna, tylko przyjemne ciepło. Połem zapada w deli-katny sen i...

Wtedy nieoczekiwanie zobaczył człowieka! Przynajmniej wydawało mu się, że to człowiek. Biały kształt przypominający ludzkie ciało spo-czywał na wpół zasypany w dużej zaspie. Mógł spać, ale jego pozycja była zbyt nienaturalna. Wyciągnięty, z nogami złożonymi wyżej niż reszta ciała, musiał leżeć tutaj, zanim nadeszła śnieżycą. Później nie dostałby się tak wysoko. Nie mógł więc spać. Peter popatrzył na jego odwróconą twarz. Jedna strona głowy była rozszarpana jakimś nie-prawdopodobnie silnym ciosem. Lewe oko niemal wepchnięte w głąb czaszki i zalane krwią. Usta szeroko otwarte, jakby w ostatnim krzyku przed śmiercią.

Peter poczuł mdłości. Chciał się odwrócić, ale to straszne oko nie pozwalało mu na to. „Patrz na mnie. Zobacz, co mi się przydarzyło, tylko dlatego, że wszedłem na ich terytorium. Wiesz, kim ja jestem, prawda?”

Peter wiedział, chociaż znękany umysł z trudem rozpoznał znajomą twarz. Niecały tydzień temu właśnie ten człowiek ostrzegł przed

niebezpieczeństwami czyhającymi w Hodre i druidami, panującymi w kamiennym kręgu. Teraz ta sama piekielna siła zabiła Dona Petersa.

Kłusownik był owinięty w uszyty z prześcieradła, długi płaszcz z kapturem. To on był tą dziwną postacią, którą Peter widział na śniegu ubiegłej nocy.

Bezwładne ramię ześlizgnęło się, przysypując śniegiem krwawe plamy, a potem wyprostowało. Wysunięty palec wskazywał oskarżycielsko: „To ty to zrobiłeś. Zabiłeś mnie!”

Peter poczuł, że za chwilę zemdleje. Przed oczyma zamigotały mu czerwone i czarne plamy.

- Nie! - wykrzyknął. Po chwili odzyskał zdolność myślenia. Śmierć Petersa nie mogła być spowodowana strzałem z karabinu. Peter musiałby stać na wprost swojej ofiary. „To nie ja cię zabiłem! Jestem niewinny! Słyszysz mnie, jestem niewinny!”

Zmasakrowane oko patrzyło na niego oskarżająco: nieruchomy palec wciąż wskazywał na Petera.

Usiłował znaleźć jakieś logiczne wyjaśnienie. Druidzi? Skoro mogli zabijać zwierzęta, byli również zdolni do morderstwa. Nie, to było śmieszne. Więc może w takim razie jelenie - biegnące w popłochu stado stratowało Petersa. Nie, to też wydaje się mało prawdopodobne. Więc co?

Nie wiedział i to go najbardziej przerażało. O n i musieli zabić Petersa - ci, którzy czaili się w ciemnościach, w ponurym wnętrzu lasu. Nagle poczuł, że jest obserwowany. Cofnął się gotów do ucieczki.

Spojrzał po raz ostatni na zakrwawioną twarz. „Ja tego nie zrobiłem! Przysięgam, że to nie ja!”

Zaczął biec. Potykał się i ślizgał, ale wciąż uciekał. Bał się spojrzeć do tyłu. Słyszał stłumione, miękkie kroki i przyciszone głosy. W każdej chwili spodziewał się ataku, który jednak nie następował. Kiedy w końcu wydostał się na gładkie zbocze, nie było przy nim nikogo. Nie słyszał nic, prócz bicia własnego serca.

Słońce kryło się za wysokimi jodłami. Wkrótce blade światło dnia zastąpi mrok.

Wiedział, że musi wrócić do domu, ponieważ nie ma innego wyjścia. To była jego ostatnia szansa. Czuł, że wróg czeka ukryty, aż zapadnie ciemność.

Zdawał sobie sprawę z tego, co go czeka, jeśli się poślizgnie. Jego ciało stoczy się jak piłka, raniąc o ostre skały. W końcu pozostaną z niego tylko krwawe zwłoki. Takie same jak Petersa.

„O Boże, ja go nie zabiłem, przysięgam! Nie, ale raniłem go!”

Obejrzał się do tyłu, żeby się upewnić, że nikt za nim nie idzie. Nie dostrzegł żywego ducha. Słońce już zaszło i wieczorne cienie kładły się wzdłuż zbocza, jakby chciały go pochwycić.

Próbował ominąć kamienny krąg, ale nie było innej drogi. Zdeformowane drzewa odcinały się na tle śnieżnej powłoki. One także wskazywały Petera haczykowatymi palcami. „Morderca!”

Skaleczył sobie rękę o skały i zostawiał za sobą krwawe ślady. Teraz na pewno trafią na niego. Przyjdą dziś w nocy. Nie będą już dłużej czekać!

Ostatkiem sił dotarł do bramy. Odetchnął z ulgą. Obejrzał się za siebie. Zobaczył tylko opuszczony krajobraz, przypominający bezkresne czeluście lodowców Antarktyki. Noc zbliżała się wielkimi krokami. Peter poczuł zimno i zadrżał. Z trudem dotarł do drzwi.

Nagle coś go uderzyło. Odczuł to niemal fizycznie i zatrzymał się. Przed domem widniał krwawy ślad. Przypomniał sobie Petersa i czerwone plamy na śniegu...

To szaleństwo! Od drzwi ciągnął się strumień krwi!

Tym razem nie mógł powstrzymać się od krzyku. Był to krzyk przeżenienia i wyczerpania zarazem. Przed oczyma zobaczył czarne plamy. Może tak będzie lepiej. Zapadnie w omdlenie, które osłoni go przed strachem.

To nie była krew. Nie mogła być... Miała zbyt jasną barwę...

Nie, to nie była krew, chociaż jakiś wewnętrzny, histeryczny głos podpowiadał mu co innego.

To była czerwona farba. Ktoś musiał przyjść tu przed godziną. Peter zauważył ślady pędzla. Czerwony znak miał kształt krzyża.

Krzyknął znowu. Namalowany krzyż nie był jeszcze suchy... Oni

przybyli tutaj, kiedy próbował się stąd wydostać. Wiedzieli, że nie zdoła uciec i będzie musiał wrócić.

Ale, na miłość boską, dlaczego?

Mogła być tylko jedna odpowiedź: ostrzegali go, a on ich nie posłuchał. Ich cierpliwość się wyczerpała i dziś w nocy przyjdą po niego.

Zaznaczyli na drzwiach Hodre ślad śmierci, a teraz czekali przycza-  
jeni.

Peter sprawdził każdy pokój. Przygotował karabin. Dopiero, kiedy przekonał się, że nikt się w domku nie kryje, odetchnął z ulgą. Przez jedną okropną chwilę bał się, że oni już tu są. Ale nikogo nie było. Czekali, aż zapadnie noc.

Ściągnął z siebie przemoczone ubranie i założył roboczy kombinezon. Szkoda, że Janie nie zdążyła zmienić zasłon. Może nawet mógłby pozbyć się tego okropnego uczucia, że jest obserwowany.

„Na miłość boską, nie chcę tu zostać. Odejdę. Nie musicie mnie zabijać. Odejdę z Hodre i nigdy tu nie wrócę!”

Uciekby stąd natychmiast, ale nie było to możliwe. Wybór nie należał do niego. Musiał zostać, chociaż nie zamierzał się poddać. Miał karabin. Nie odda życia za darmo. Zabierze kilku z nich ze sobą!

Kiedy ogrzał się przy kominku, poczuł, że wróciły mu siły do walki i gniew. Nie mieli prawa tak z nim postępować. Przeszkadzali mu w pisaniu książki.

Cóż, u diabła, spotkało Petersa? Jak mocne musiało być uderzenie, skoro roztrzaskało mu czaszkę. Kto to mógł zrobić i dlaczego? Gdzie był kumpel Dona, Mick Bostock? Czy także leżał gdzieś martwy?

Peter zaczął wykonywać różne niepotrzebne czynności, o które nigdy nie zatroszczył się w innych warunkach. Upewnił się, czy wszystkie drzwi są zaryglowane, chociaż doskonale wiedział, że są.

Podniósł słuchawkę telefonu, aby sprawdzić, czy może jakimś cudem aparat znowu zaczął działać. Oczywiście telefon milczał. Potem Peter jeszcze raz wyczyścił karabin. Przeczuwał, że wkrótce może go potrzebować.

Małe tranzystorowe radio stało na półce. Gavin dostał je na gwiazdkę. Peter zastanawiał się, czemu chłopiec nie zabrał go ze sobą. Być może dlatego, że nie było najlepsze, stanowiło raczej zabawkę. Tani rupień z importu.

Mimo to Peter włączył odbiornik. Musiał zrobić coś, żeby przerwać panującą ciszę. Chociaż powinien nasłuchiwać, aby być przygotowanym, gdy nadejdą.

Z tranzystora popłynęła muzyka. Jakiś disc jockey usiłował ją przekrzyć. Może zdawał sobie sprawę, że byli tacy głupi ludzie, którzy kupowali tandetne tranzystory. Krzykiem starał się zagłuszyć trzaski. Peter nie interesował się muzyką, ale dzięki temu słyszał jakiś ludzki głos. Za chwilę zacznie rozmawiać z radiem, a to będzie gorsze niż rozmowa z samym sobą.

Światło zamigotało i zgasło. Gdyby nie to, że radio wciąż grało, Peter pomyślałby, że znalazł się w zaświatach. Wciąż jednak był w Hodre.

Nagła ciemność nie zaskoczyła go. Być może jego nerwy powoli przyzwyczajały się do sytuacji. Zastanawiał się, dlaczego światło zgasło. Prawdopodobnie gdzieś kabel zerwał się pod ciężarem śniegu. A może po prostu wysiadł korek...



Głos dochodzący z tranzystora spoważniał.

„Ostatnie wiadomości...”

Peter zamarł w ciemnościach. Czuł się tak, jakby ktoś podawał mu przez telefon niezwykle ważną wiadomość: „Słuchaj uważnie. Musisz to usłyszeć. To zła wiadomość.”

„... uciekł dzisiaj... policja... rozpoczęła masowe poszukiwania... ludzie przebywający w odległych miejscach... ostrzega się przed wychodzeniem po zmroku... mężczyzna jest skazany dożywotnio za... policjant powiedział... może być niebezpieczny... nie podchodzić do niego... Skontaktować się z miejscową policją lub zadzwonić... ukrywa się... w górach Walii...”

Zakłócenia nie pochodziły z tranzystora. To Peter czuł szum w uszach i potworny ból głowy. Puls rozsadzał mu skronie. Głupi disc jockey odezwał się znowu i opowiedział jakiś bezsensowny żart, który mógł raczej wystraszyć niż rozśmieszyć kogoś mieszkającego samotnie: „Uważaj, jeśli usłyszysz pukanie do drzwi. To może być szaleniec”.

Ukrywa się w walijskich górach... Peter poczuł, że robi mu się zimno. Jakiś szaleniec na wolności w Walii. Może tutaj? W Hodre!

To bez sensu. Nie może dać się zwieść wyobraźni. Góry Walii to ogromny obszar, poszukiwany może być wszędzie. Już samo to zabrzmiało wystarczająco strasznie.

Przede wszystkim spróbuje naprawić światło. Jeśli to nie będzie możliwe, później zacznie się martwić. Zastanawiał się, gdzie mogą być

korki. Postanowił sprawdzić w spiżarni.

Zgadł. Wszystkie korki działały. Przynajmniej na to wyglądało. A więc śnieg zerwał gdzieś kable albo też...

Poszedł do kuchni i zabrał karabin i naboje. Na górze łatwiej mu będzie stawiać opór. Z okna sypialni miał dobry widok na pokryty śniegiem stok i kamienny krąg. Prawdopodobnie napastnicy nie nadejdą z tej strony, raczej okrążą dom i zaatakują od frontu. W takim razie będzie mógł się bronić na schodach. Jest uzbrojony i może powstrzymać nawet całą armię. Pod warunkiem, że to będą ludzie. Oczywiście, że tak. Przecież ranił jednego z nich.

W sypialni było zimno. Spróbował otworzyć okno. Musiał je otworzyć, bo przez zamrożone szyby niczego nie mógł zobaczyć. Gwiazdy zdawały się świecić jeszcze jaśniej niż poprzedniej nocy. Ustawił karabin i rozpoczął czuwanie. To będzie długa i mroźna noc.

Gdzieś odezwała się lisica. Peter niemal podskoczył. Do diabła, czyż nie mogła sobie znaleźć innego miejsca? Chciał zapalić, ale nie miał żadnych papierosów. Będzie musiał się bez nich obejść.

Zdziwił się, kiedy zobaczył pod lasem jelenie. Boże, było ich całe mnóstwo. Poruszały się szybko i wyglądały tak, jakby nie miały chwili do stracenia. Może szukały jedzenia. Ale dlaczego nie szły w kierunku doliny? Tam śnieg nie był głęboki i mogły znaleźć trochę trawy. Takie

zwierzęta jak jelenie powinny o tym wiedzieć.

Stado szło i szło, minęło wysoki stok, a potem zawróciło w kierunku lasu. Peter dostrzegł, że skręciły do lasu w miejscu, gdzie leżało ciało Petersa. Usiłował odepchnąć natrętną myśl.

Znowu zrobiło mu się słabo.

Przypomniał sobie wiadomości. Nie, nie będzie się martwił. Miał broń. To oni powinni się bać.

Wszędzie panowała okropna cisza. Zaczęło mu to działać na nerwy. Dlaczego ta piekielna lisica nie odezwie się znowu?

Wolałyby nawet pohukiwania puszczyka niż ten upiorny spokój. Jak tak dalej będzie, zacznie słyszeć dźwięki, których wcale nie ma.

Próbował zastanowić się nad tym, co zrobi jutro. Pogoda trzymała go w szachu. Jeśli nie nadejdzie odwilż, będzie tkwił tu dniami i nocami! „O Boże, oszaleję w tej ciszy!” Ona z pewnością nie wróżyła niczego dobrego. Była zwiastunem nadchodzącego zła.

Spoglądał w białą dal za oknem spod wpół przymkniętych powiek. Oczy zamykały mu się ze zmęczenia. Boże, nie wolno zasnąć za żadną cenę. Nie było to łatwe. Śnieg i cisza działały na niego uspokajająco. Miał ochotę położyć się i zapomnieć o wszystkim. Niczego nie było na zewnątrz. „To wszystko jest tylko wytworem wyobraźni - powtarzał sobie. - Nie, do diabła! Oni tam są. Czekają, aż zasną. Wtedy się zbliżą.

Być może wiedzą, że mam karabin i dlatego zwlekają.”

Był już jasny dzień, kiedy Peter obudził się z uczuciem, że coś jest nie w porządku. Po kilku sekundach przypomniał sobie wszystko. O Boże, zasnął! Dał się pokonać i zasnął oparty na parapecie. Tuż pod nim znajdował się naładowany karabin.

Na dworze świeciło słońce. Drżącą dłonią zabezpieczył broń. Zasnął, a jednak oni nie przyszli. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Ostrożnie, trzymając w rękach karabin, zszedł na dół i sprawdził każdy pokój. Drzwi i okna były dokładnie pozamykane. Nikt nie próbował dostać się do środka.

Peter wyjął parę sucharków z puszki i zastanawiał się, co ma dalej robić. Zegar wskazywał jedenastą piętnaście. Słabe światło słoneczne nie stopi śniegu. To może potrwać nawet kilka tygodni. Przez ten czas nie mógł nic zrobić. Był tu uwięziony, oni wiedzieli o tym, a czas działał na ich korzyść.

Peter otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Z jednej strony dachu kapąły kropelki wody, ale z drugiej, pozostającej w cieniu, zwiślały grube sople lodu.

Słońce raziło w oczy. Wciąż odczuwał ból głowy. Nie było sensu zapuszczać się w ten zdradliwy, zamrożony świat, który opuściły nawet dzikie zwierzęta. Wrócił do domu i zamknął drzwi. Wróg nie pokazał się, ale był w pobliżu. Peter czuł to. Wiedział, że jest obserwowany.

Włączył radio. Znowu ta przeklęta muzyka! Znowu ten zwariowany disc jockey. „Jest pierwsza. Podajemy wiadomości...”

Czas szybko upływał, chociaż Peter marzył o tym, by stanął w miejscu.

„Wciąż trwają poszukiwania zbiegłego z więziennego szpitala Johna Louvelle'a. Skazany na dożywotnie więzienie, uciekł wczoraj rano. Ostatnio widziano go w odległej, górskiej wiosce w Walii. Policja ostrzega, że mężczyzna może być niebezpieczny. Głęboki śnieg zatrzymał poszukiwania...”

Peter zadrżał. Przypomniał sobie, że musi rozpalic w kominku. Louvell nie zdoła dotrzeć do Hodre.

„A teraz prognoza pogody: śnieg, który spadł w Walii i na zachodzie kraju, utrzyma się jeszcze przez kilka dni. Nie przewiduje się ocieplenia w ciągu najbliższej doby.”

Peter wyłączył radio. Nie mógł już dłużej znieść muzyki. Pomyślał o Louvelle'u i przypomniał sobie podobny przypadek, który miał miejsce mniej więcej trzy lata temu. Mężczyzna zatrzymał młodą kobietę i dwoje dzieci jako zakładników w opuszczonym wiejskim domku, takim jak Hodre. Szalenciec działał bez żadnego motywu. Po kilku dniach pertraktacji policja w końcu zaatakowała i wówczas podciął gardła swoim ofiarom i poważnie zranił dwóch policjantów. Z trudem go obezwładniono.

Dzieci zmarły. Peter nie pamiętał, co stało się z matką.

Podszedł do okna. Hodre i otaczające je wzgórza były bezkresne i dzikie. Szalenięć mógł być równie dobrze tu, jak i gdzie indziej.

Usiłował zabić czas, pracując nad książką. Jednak po godzinnych wysiłkach poddał się. Zupełnie nie mógł się skoncentrować. Posiadał broń, ale czuł się równie bezsilny, jakby jej nie miał. Mógł tylko czekać, aż zmieni się pogoda i starać utrzymać nerwy na wodzy.

Wrócił do okna i obserwował, jak szybko zapada wieczór. Krwawa tarcza słoneczna chowała się za zachodnim łańcuchem gór. Zbliżał się ostry mróz.

Zasunął zasłonę i zapalił świeczkę. Płomień oświetlał tylko mały krąg. Peter poczuł się jak pierwotny człowiek, który instynktownie bał się ciemności. Niewiele zmieniło się w ciągu wieków.

Miał ochotę włączyć radio, jednak oparł się tej pokusie. Nachodziły go absurdalne myśli, że ktoś celowo wykorzystuje radio, aby złamać jego opór. Czuł się zagrożony przez niewidzialne siły.

Zastanawiał się, czy Janie zdaje sobie sprawę z tego, że on jest tu odcięty od świata. Nawet jeśli tak było, nie istniał żaden logiczny powód, żeby wysłać po niego helikopter. W górach często zdarzały się podobne sytuacje.

Świeczka wypalała się coraz bardziej. Peter sądził, że wystarczy jej jeszcze najwyżej na pół godziny. Cóż, potem zawsze może pójść do sypialni.

Chociaż, dlaczego nie miałby zostać w kuchni? Jeśli chcieli dostać się do niego, musieli wejść przez drzwi, a wtedy on ich odpowiednio przywita. Bał się ciemności. Światło odbijało się od śniegu i Peterowi wydawało się, że widzi coś za oknem.

Zaczaj nasłuchiwać. Przez chwilę miał wrażenie, że słyszy coś podobnego do wiatru. Tylko, że nie był to wiatr. Coś się poruszyło...

O Boże, naprawdę coś się ruszyło! Zupełnie jakby jakieś duże zwierzę czołgało się po zamarzniętym śniegu. Może ranny jelen, który czując, że słabnie coraz bardziej, przyszedł do człowieka. Coś zaskrobało do drzwi.

Peter skulił się na krześle i podniósł karabin do góry. Ręce drżały mu, kiedy trzymał broń wycelowaną w drzwi.

Słuchał. Coś szorowało o próg, a potem ciężko uderzyło w drzwi.

Świecezka zamigotała i prawie zgasła. Peter poczuł zimny pot spływający z czoła. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu: „To nie jest jelen. Jelenie nie przychodzą do ludzkich domostw. Nie potrafią zapukać do drzwi. To oni! Przyszli po ciebie.”

Powinien był wypalić z obu luf jednocześnie, próbując trafić w to, co czaiło się na zewnątrz. Powinien strzelać raz za razem. Oni przecież wiedzą, że ma broń. Gdy ich o tym przekona, zostawią go w spokoju.

Ale nie wypalił. Nie miał odwagi. To byłoby morderstwo. Zabójstwo z premedytacją. Nie potrafił nacisnąć na spust Czekal i nasłuchiwał.

Świeczka zgasała i zapanowały nieprzeniknione ciemności. Peter po omacku odszukał latarkę, ani na chwilę nie wypuszczając broni z ręki. Oświetlił drzwi i wtedy znowu usłyszał stukanie. I głos. Nie mógł rozróżnić słów, ale był to na pewno ludzki głos. Rozległ się desperacki krzyk i czyjeś ręce załomotały do drzwi.

Różne myśli przychodziły Peterowi do głowy: „Może to ten szaleniec, Louvelle. Jeśli to on, na pewno ma nóż i użyje go bez wahania. A może to śnieżna figura, którą zranił, przyszła szukać zemsty. Zabiłem twojego kota i królika, a teraz zabiję ciebie!”

Peter wstał, mimo że nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Podeszedł parę kroków do drzwi.

- Kto tam jest?

Przez kilka chwil panowała zupełna cisza, a potem znowu dało się słyszeć chrobotanie. Ktoś skrobał lekko tuż nad podłogą. Tym razem dźwięk był słabszy, zupełnie jakby nocny gość tracił siły.

- Pytałem, kto tam? - Peter z trudem rozpoznał własny głos.

Nie zdawał sobie sprawy, że krzyczy.

Wyciągnął broń. Coś załomotało, a potem usłyszał, jak ktoś po drugiej stronie usiłuje pchnąć drzwi. Peter cofnął się, trzymając broń w



pogotowiu. Końcem latarki odsunął skobel. Drzwi zaskrzypiały i otworzyły się powoli. Peter poczuł, jak zasycha mu w gardle.

I wtedy zobaczył czołgającą się postać omotaną w strój z prześcieradła. Wykrzywiona z bólu twarz była umazana krwią.

Zakrwawiona ręka podniosła się i wskazała na niego oskarżycielskim gestem. Peterowi wydawało się, że słyszy: „Zabiłeś mnie, a teraz ja przyszedłem po ciebie!”

Chciał uciekać, krzyżeć, ale nie miał dokąd biec, a głos odmawiał mu posłuszeństwa. Wiedział, że to, co widzi, jest niemożliwe, a jednak prawdziwe. Zakrwawione zwłoki, które zostawił w zaspie, czołgały się przez jego własne drzwi. Don Peters, kłusownik z Woodside, zmarł, twychwstał, aby się zemścić.

Peter stał z bronią gotową do strzału, ale nie potrafił pociągnąć za cyngiel. Patrzył na postać z niedowierzaniem, stopniowo opuszczając karabin.

- Pomóż mi!

Ten rozpaczliwy krzyk przeraził go i ucieszył jednocześnie. Biała postać osunęła się przed nim. Oddychała ciężko, chrapliwie, jak gdyby miała uszkodzone płuca. Mężczyzna podniósł głowę i spojrzał na Petera. Zakrwawiona twarz była przerażona.

- Pomóż mi, zamknij drzwi... Oni tam są!

Peter odetchnął z ulgą, kiedy w końcu dotarły do niego słowa ranego. Powoli zaczynał rozumieć. Człowiek leżący przed nim nie był Donem Petersem. Był to kumpel zmarłego, Mick Bostock!

- Bostock! - zawołał. - Co tam się dzieje? Co ty tu robisz, do diabła?

- Zamknij drzwi - wycharczał przerażony kłusownik. - Mówię ci, że oni tam są.

- Oni? - Peter podszedł do drzwi, zatrzasnął je i zasunął zasuwkę. - Kim oni są?

- Mój Boże, sam chciałbym to wiedzieć. - Kłusownik był bliski załamania. - Ale oni zabijają nas obu, jeśli nas dopadną!

Peter posadził Bostocka na kuchennym krześle i przy świetle latarki zaczął zdejmować z niego białe prześcieradło. Kłusownik był ranny w głowę. Miał okropną ranę nad lewym uchem. Stracił sporo krwi, ale

choć wyglądało to okropnie, nie było niebezpieczne.

- Cóż, będziemy musieli to umyć - powiedział Peter, stawiając czajnik na kuchence. - Czy możesz powiedzieć mi, co się stało?

- Don! Widziałeś go? - Bostock oparł się o poręcz krzesła, próbując usiąść prosto, ale opadł bezwładnie z powrotem. - Na miłość boską, gdzie on jest?

Peter usiłował znaleźć jakieś bandaże w podręcznej apteczce.

- Widziałem go. Obawiam się, że nie żyje. Miał strzaskaną czaszkę.

- Wiedziałem - głos Bostocka drżał. - Wiedziałem, że nie wydostał się żywy z tego przeklętego lasu.

- Dobrze, ale powiedz mi w końcu, co się tu dzieje. - Peter wreszcie znalazł bandaż i czekał, aż woda się zagotuje. - Ty i twój kumpel robiliście wszystko, żeby nas wystraszyć. Teraz wygląda na to, że wasze wymyślone strachy istnieją naprawdę.

- Klusowaliśmy z Donem. - Oczy Bostocka rozszerzyły się ze strachu, kiedy próbował powiedzieć Peterowi, co się wydarzyło.

- Klusowaliśmy na króliki, na nic więcej, nie tknęliśmy nawet jednego bażanta. Byliśmy na polu Ruskina, kiedy ich zobaczyliśmy. Boże! Gdybyśmy zobaczyli ich wcześniej, mielibyśmy jakąś szansę. Ale ci dranie byli ubrani tak samo jak my, całkiem na biało. Początkowo myśleliśmy, że ktoś jeszcze poluje na króliki, ale kiedy ruszyli w naszym

kierunku, zrozumieliśmy, że to nie królikarze. Zawróciliśmy w kierunku lasu, próbując ich zgubić. Słyszałem ich wszędzie dookoła. Potem nagle dotarł do mnie przeraźliwy krzyk Dona. Wiedziałem, że go zabili. Wtedy ruszyli w moim kierunku. Biegłem prosto w stronę Hodre. Udałoby mi się, ale coś mnie uderzyło - Bostock pokazał mu ranę. - Nie wiem, co to było, lecz cios był bardzo silny, przewróciłem się. Krew lała się ze mnie jak z zarżniętego prosiaka. Nie wiem, dlaczego mnie zostawili. Kiedy odzyskałem przytomność, nie było w pobliżu nikogo. Musiałem leżeć na śniegu całą noc. Wiedziałem, że nie uda mi się wrócić do Woodside. Nie miałem innego wyjścia, musiałem przyjść tutaj. Rozumie mnie pan, prawda?

- Tak - skrzywił się Peter, obmywając ranę. - Ale skąd wiesz, że oni są tutaj?

- Widziałem ich. - Bostock zadrżał. - Boże miłosierny, widziałem ich! Musi mi pan wierzyć, panie Fogg. Byli w pobliżu kamiennego kręgu, czterech albo pięciu. Ześlizgiwali się w stronę domku.

- Rozumiem - powiedział Peter, bandażując głowę rannego. Im szybciej obejrzy go lekarz, tym lepiej. - Ale kim oni są?

- Mówiłem już panu, że nie wiem. Są ubrani tak samo jak my, więc są pewnie kłusownikami, ale ich nie interesują króliki. Powtarzam panu, coś się dzieje tam na górze, w kamiennym kręgu.

Peter pomyślał, że to chyba jacyś szaleńcy, którzy chcą złożyć swoim bóstwom ludzką ofiarę.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli dostaniemy się na górę. Mam karabin i naboje. Może uda mi się ich powstrzymać.

- Więc chodźmy! - Bostock złapał się za głowę. - Jestem ciekaw, co mnie uderzyło.

Peter pomógł Mickowi wejść pod stromych schodach. Kłusownik był bardzo słaby. Rana nie wydawała się groźna, ale godziny leżenia na śniegu mogły spowodować zapalenie płuc.

- Niech mi pan pozwoli ocenić sytuację. - Bostock jakby odzyskał siły, kiedy w końcu znaleźli się w sypialni. - Może uda się nam powstrzymać tych drani.

W jednej chwili wychylił się przez okno, aby zaraz odskoczyć do tyłu. Próbował krzyżeć, ale coś tamowało mu głos. Strumień krwi tryśnął aż na sufit. Peter stał przerażony, podczas gdy Mick Bostock upadł na dywan, usiłując wyciągnąć stalową strzałę, która utkwiała w jego szyi.

Peter patrzył na to wszystko oświetlając pokój latarką. Kłusownik już nie żył.

Peter miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Spojrzał na dywan, który znajdował się w oplakanyim stanie. Krew płynęła strużkami po podłodze. Być może przesiąknęła do gabinetu. Zobaczył w wyobraźni poplamione krwią kartki maszynopisu. Prawdziwy horror!

Z wysiłkiem pochylił się nad leżącym. Strzała stercząca z szyi Bostocka przypominała broń Indian. Wykonana ze stali, miała ogromną

siłę. Przynosiła nieuchronną śmierć.

Peter przypomniał sobie reklamę, którą widział kilka tygodni temu. Producent oferował sportowcom doskonały łuk, strzelający cicho i celnie, a co najważniejsze, nie trzeba było mieć zezwolenia na broń. Śmiercionośne strzały. Oni byli tam na zewnątrz i czekali z łukami na niego.

Poczuł lejący się z czoła pot. Bostock uratował mu życie. Gdyby nie wychylił się przez okno, Peter sam by to zrobił i leżałby teraz na podłodze ze strzałą w gardle. Oni tam byli. Zbliżyli się, żeby go zabić!

Pochylił się i ostrożnie wyjrzał przez okno. Wszystko wyglądało zupełnie tak samo, jak poprzedniej nocy. Śnieżna pustynia, mieniąca się w świetle gwiazd. Było tak cicho, że zaczął podejrzewać, iż nikogo tam nie ma. Może napastnicy zrezygnowali?

Zastanawiał się, czy wiedzieli, że Bostock dotarł tutaj.

Może myśleli, że zabili Petera?

Kilka sekund później nie miał już żadnej wątpliwości. Poczuł zimny podmuch tuż koło twarzy. Schylił się odruchowo. Usłyszał, jak strzała uderzyła w przeciwległą ścianę. Posypała się lawina tynku.

Zimna stal błyszczała złowrogo. Jeszcze drżała. Zupełnie jakby złościła się, że nie ugodziła ofiary.

Peter wiedział już wszystko. Nieprzyjaciel będzie czekał cierpliwie i próbował aż do skutku. Kiedy Peter zdał sobie z tego sprawę, poczuł, że boi się jeszcze bardziej. Poprzednio lękał się tego, co nieznanego. Nie był

pewien, czy ktoś lub coś czai się na zewnątrz. Teraz już nie miał żadnych wątpliwości. Przed domem czekali ludzie gotowi na wszystko. Trzymali go w szachu. Będzie musiał albo walczyć, albo zginąć.

Boże, nie widział kim oni są, ale czuł, że go nienawidzą i chcą zabić. Gniew zastąpił strach. Nie da się im tak łatwo. Oni byli tylko ludźmi, podobnie jak on, ale jest silniejszy, bo ma karabin. Jeżeli chcą walki, znajdą to, czego szukają.

Podniósł się i pociągnął za spust. Wzdrygnął się, gdy poczuł dym, jednocześnie jednak z przyjemnością wciągnął w płuca ten zapach. To zapach siły. Podniecił go do walki.

Nie było więcej czasu na rozmyślania. Ledwie echo wystrzału rozległo się w dolinie, usłyszał spadające szkło.

Strzelał raz za razem. Poczł się jak na Dzikim Zachodzie i uśmiechnął się do siebie - utrzyma ich z dala od domu. Sprawdził ilość naboí. Musi być ostrożny - nie wiadomo, jak długo potrwa oblężenie. Być może napastnicy odejdą dopiero wtedy, kiedy stopnieje śnieg.

Zaległa długa cisza. W pewnej chwili wydało mu się, że słyszy skrzypienie śniegu pod stopami. Po minucie wszystko ucichło. Może chcieli go zmusić do pokazania się. Mieli nad nim ogromną przewagę - mogli tylko czekać z kuszami wycelowanymi w mały kwadrat okna. On zaś musiał szukać białych postaci na zasypanym zbocz. Oblizał

spierzchnięte wargi. Czuł się jak przysłowiowa kaczka. Popatrzył na tarczę budzika. Była jedenasta czterdzieści. O Boże, noc dopiero się zaczęła.

Minęła godzina. Zmarzł i zaczął drzemać. Miał już tego dosyć. Jeszcze chwila i wychyli się przez okno, aby wreszcie z tym skończyć. Nie mógł znieść przytłaczającej ciszy. Usiłował nie patrzeć w stronę leżącego Bostocka. Jego śmierć była zupełnie niepotrzebna. Peter wściekał się na myśl, że sam może skończyć tak samo...

O Boże, dym!

Zakaszłał. Pochylił się mocno, żeby nie mogli go zobaczyć przez okno. Coś się paliło. Może wrzucili wiązkę siana do komina.

Zszedł na dół. Dym gryzł w oczy. Musiał cofnąć się do sypialni, żeby odetchnąć świeżym powietrzem.

Usłyszał trzask płonącego drewna.

Ci dranie podpalili szopę. Wszystko pójdzie z dymem w ciągu kilku minut.

Nabrał powietrza i trzymając karabin w ręku, zszedł na dół po omacku. Ściana była już gorąca. Czuł i słyszał trzaskający ogień po drugiej stronie muru. Płomienie ogarnęły belki i ogień zaczynał przedostawać się do domu. Coś ciężkiego runęło w szopie. To pewnie belki stropu.

Zatrzymał się w hallu. Ukłękął pod drzwiami, aby odetchnąć świeżym powietrzem. O Boże, oni zrobią wszystko, żeby dostać go w swoje



ręce! Ogniem zmuszą do opuszczenia domu. Byli zbyt inteligentni, żeby mógł z nimi wygrać.

Wahał się przez chwilę. Poczł smutek, że już nigdy nie zobaczy Janie ani Gavina. Żał mu było niedokończonej książki i tego, że nie zdążył nacieszyć się sukcesem pierwszej. Wszystko działo się tak jak w starym westernie. Apacze podpalili dom płonącymi strzałami, a potem czekali, aż ich ofiary wyjdą z ukrycia. Nie miał wyboru. Jeśli chciał walczyć, musiał opuścić schronienie.

Odsunął rygiel. Zasuwa odskoczyła lekko, jakby chciała przyspieszyć jego śmierć. Uchylił drzwi.

Zrobiło się potwornie gorąco. Kamienna ściana, oddzielająca dom od szopy, była gorąca jak rozpalony piec. Peter podniósł karabin i wystrzelił. Sięgnął do kieszeni po naboje. Zastanawiał się, co robić. Musi stąd wybiec i dotrzeć do bramy. Stamtąd będzie się bronił.

Usłyszał wybuch i kamienna szopa runęła. Suche drewno paliło się z trzaskiem. Poczł, jak drży podłoga. Nie mógł czekać ani chwili dłużej. Szopa i dom miały wspólny dach. Za moment może zostać tu na zawsze, przysypany płonącymi belkami.

Uchylił drzwi i ruszył biegiem. Teraz żałował, że nie wyjechał wraz z żoną i synem. Jednocześnie dziękował Bogu za to, że przynajmniej oni są bezpieczni. Usiłował biec, z trudem utrzymując równowagę na śliskim śniegu. Nie był w stanie uciekać zygzakiem. Niemal czuł stalowe

ostrze strzały przeszywające go na wylot.

Zupełnie nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Dlaczego nie dosięgła go ani jedna strzała? Drżał cały, kuląc się za zbawienną bramą.

Coś było nie w porządku. Zdał sobie z tego sprawę dopiero po kilku sekundach. Zrobiło się jaśniej. W pierwszej chwili myślał, że to odbłask pożaru. Jednak to było co innego. Smugi jasnego światła przeczesywały okolice. O Boże, ludzie z reflektorami byli tu również.

Peter ostrożnie wyjrzał zza bramy. Słyszał coraz głośniejszy warkot silników. To chyba śmigłowce... Nie, światła poruszały się zbyt nisko. Również nie mogły to być samoloty, gdyż rozbiłyby się o skały.

Patrzył zaskoczony na to, co działo się przed nim. Zapomniał o strachu. Trzy lub cztery pojazdy przesuwwały się po stoku. Ich silne reflektory oświetlały wszystko dookoła.

To niemożliwe. Przecież stok był skuty lodem i żaden pojazd nie mógł się na nim utrzymać. A jednak poruszały się bez trudu. To były śnieżne pojazdy.

Peter odetchnął głęboko. Patrzył, jak jasne smugi poruszają się, oświetlając każdy skrawek. Pojazdy zbliżały się szerokim kołem. Widać było biegających ludzi. Białe figury potykały się i upadały, usiłując uciec, uwolnić się od przeszkadzających płócien. Wyglądało to jak jakaś magiczna karuzela, na której figurki wyginały się w dziwacznych ruchach.

Uciekające postacie miały na nogach jakieś ogromne buty.

Nagle wszystko znieruchomiało. Hodre było rozwidnione jak w słoneczny dzień. Pałace się drzewa trzeszczały i wyrzucały w niebo snopy iskier. Poprzez szum silników Peter usłyszał krzyki ludzi. Walka trwała bardzo krótko.

Podniósł broń i czekał.

Po pewnym czasie, który wydał mu się wiecznością, kawalkada pojazdów ruszyła. Niesamowita procesja przedzierała się przez zasy. Dwóch ludzi zeskoczyło z pojazdu i zaczęło brnąć w jego kierunku. Instynktownie skierował karabin w ich stronę, kiedy niespodziewanie rozpoznał jednego z nich. Nie mylił się. To był komisarz Calvert. Jego mundur był schowany pod kożuchem. Peter nie mógł powstrzymać śmiechu. Ulga i komiczny wygląd wiejskiego policjanta, ubranego w długie, za duże na niego buty, dzięki którym wyglądał jak Myszka Miki, rozbawiły Petera do łez. Śmiechem rozładował również długotrwałe napięcie nerwowe.

- Cieszę się, że nic się panu nie stało, panie Fogg - wysapał Calvert. Peter skinął głową.

- Dziękuję. Odsuńmy się lepiej od domu. To wszystko lada moment wybuchnie.

- Złapaliśmy ich - komisarz wskazał grupę mężczyzn stojących przy samochodzie. - W każdym razie przywódców.

- Kogo? - Peter zadrżał, słysząc zapadający się dach. - Nie mam pojęcia, co tu się dzieje. Wiem tylko, że ktoś chce mnie przesyć na wylot strzałami. Peters i Bostock nie żyją.

- Znaleźliśmy Petersa na górze - Calvert wskazał zbocze. - Sierżant Lewis i ja poszliśmy dzisiaj do lasu wraz z leśniczymi, ale nie spodziewaliśmy się czegoś podobnego.

- Obawiam się, że nadal nic nie rozumiem - Peter pokręcił głową.

- Sądzę, że wszystko jest jasne - odezwał się wysoki mężczyzna. - Ci ludzie stali na czele doskonale zorganizowanego i chyba najniebezpieczniejszego gangu kłusowników, jaki kiedykolwiek działał na terenie Anglii. Polowali na jelenie.

- Na jelenie? - Peter patrzył szeroko otwartymi oczami na płonący dom. - A ja myślałem...

- Wiem, co pan myślał. My też tak myśleliśmy, ale niespodziewanie natrafiliśmy na pewien trop. - Calvert roześmiał się. - Sądził pan, że to sprawki jakiś walijskich fanatyków albo że Peters i Bostock chcieli wypędzić pana z Hodre, żeby móc spokojnie polować na króliki. Miał pan trochę racji, ale tak naprawdę winni temu byli ludzie, którzy polowali na jelenie. To właśnie oni zabili pańskiego kota i królika oraz przebili opony samochodu. Musieli się pana pozbyć, zanim wielkie stada zjawią się w Hodre. Oznaczało to dla nich tysiące funtów zarobionych w ciągu kilku nocy. Byli bardziej zawzięci niż gangi, które rabowały banki w dużych miastach. W takim miejscu jak to mogli

stopniowo wybić całe stado. Próbowali pana wystraszyć, a kiedy to nie pomogło, musieli pana zabić, aby pozbyć się niewygodnego świadka. Śnieżycza ułatwiła im zadanie, gdyż nikt nie mógł się tu dostać. Na szczęście udało się nam zdobyć kilka pojazdów śnieżnych.

Peter już nie słuchał. Jego umysł pracował szybko. Zaczął przyglądać się kłusownikom. Tak, nie mylił się, wysoka postać, nieugięte spojrzenie i długie, siwe włosy, które nagle stały się białe. Dzisiejszej nocy Tim Ruskin postarzał się o dziesięć lat.

- On? - zdziwił się Peter. - Przecież...

- Tak. Jest chyba milionerem, ale poświęciłby wszystko, aby zdobyć dodatkowo choćby kilka funtów. Nie wystarczały mu dochody, jakie miał z hodowli owiec. Teraz długo nie będzie chodził po swoich polach. Cóż, panie Fogg. Zabierzemy pana ze sobą w jakieś cywilizowane miejsce. Założę się, że ma pan dosyć Hodre na całe życie.

Peter obejrzał się po raz ostatni na ukryte wśród zasp miejsce, które przez krótki czas było jego domem, a teraz całkowicie spłonęło. Dach już się zawalił, a kamienna ściana prawdopodobnie runie za chwilę, rozrzucając wokół gorące kamienie. Śnieg wokół domu już stopniał i spływał strużkami wody do ogrodu.

Peter uśmiechnął się gorzko, kiedy przypomniał sobie książkę. Jeden rozdział niedokończony, drugi zaledwie rozpoczęty.

Tak czy inaczej będzie musiał zacząć od nowa.

Dom rozpadł się z trzaskiem. Tak zęgnął go Hodre. Przetrwały tylko powyginane sosny, otaczające stary, kamienny krąg. Ciemne szkielety spoglądały w dół, jakby cieszył je widok pożogi. Może dokonała się jakaś od lat niespełniona zemsta?

Dla tych drzew jeszcze nie wszystko się skończyło.